# OD WILNA PO DYNABVRG



WACŁAW LIPIŃSKI.

# OD WILNA PO DYNABURG

(WSPOMNIENIA Z OFENSYWY 5 P. P. LEGJONÓW).



WACŁAW LIPIŃSKI.

WARSZAWA - - - - - - - - - - 1920
**GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.**

KSIĄŻKĘ ZDOBIŁ PPOR. BOŃCZA-BARTOSZEWSKI.
KLISZE WEDŁUG FOTOGRAFJI AUTORA.



Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka"
Warszawa, ul. Moniuszki № 11. Tel. 190-93.





WILNU

POŚWIĘCAM.

# WSTĘP

Od wielu miesięcy spogląda Wilno na żołnierza polskiego.

Ujrzało go po raz pierwszy rozszerzonemi z radości i zdumienia oczyma, gdy w chłodny, wiosenny dzień po ulicach głuchego Wilna poczęły naraz trzaskać karabinowe strzały. Początkowo pojedyńcze, ostre, alarmujące swym rozgłośnym, wysokim tonem, podrywające na nogi przerażonych mieszkańców, którym się zdało, iż to hula znów moskiewski bolszewizm, później coraz szybsze, coraz bardziej gorączkowe, coraz potężniejsze, zlewające się wreszcie w gwar upartej, wściekłej walki...

W gwałtownym, coraz bardziej wzmagającym się ogniu, w ostrym poświście kul, w jazgotliwym, złym ogniu karabinów maszynowych, wśród jękliwego huku ręcznych granatów, w rozgwarze ulicznej walki, w rozpaczliwym brzęku wypadających szyb, w suchym pyle i kurzu, sypiącego się pod kulami tynku ze ścian, ujrzało Wilno po raz pierwszy od wielu, wielu lat żołnierza polskiego...

Ujrzało go znagła, niespodziewanie... Ujrzało go w ciężkiej, bojowej pracy, poczerniałego w ogniu, uparcie

idącego naprzód, zdobywającego dom za domem ulicę po ulicy...

Przez miasto, przeleciał niby wichr, radosny głos. Poroztwierały się naoścież z trzaskiem drzwi i okna i, wpośród huku i gwałtu karabinowego ognia, w polotach, w świstach kul, w walce o miasto, przeszła błyskawicą wieść, z krańca na kraniec, z domu do domu, wieść niewiarogodna, wieść oszałamiająca, wieść jak z bajki przecudownej— że polscy żołnierze biją się o Wilno, tu, obok w ulicach, że idą naprzód, że już miasto całe niemal mają w ręku.

Rozszerzonemi zachwytem oczyma patrzało Wilno, jak przez ulice pochyleni w ogniu, biegli ułani... Ujrzało stare Wilno czerwone, kraśne rabaty niby maki na szarym, bezpańskim ugorze i ujrzało płomień żołnierskiej krwi...

Widziało dalej, jak gorączkowo i pośpiesznie nadchodzące pociągi wyrzucały kompanje i bataljony szarego piechura, który wprost z wagonów, nasadzając bagnet na lufę, rzucał się w bój...

Po dwu dniach zajadłej, upornej walki ujrzało się Wilno wolnem. Coraz bardziej i bardziej oddalał się walczący żołnierz...

Zaroiło się wówczas miasto od szarego żołnierza. Przemaszerowywała silnym, potężnym krokiem piechota, łamały się w słońcu błyski bagnetów niby srebrne skry na szarych, morskich falach, budziła echo w krętych zaułkach mocna—radosna pieśń zwycięstwa...

Przeciągały przez miasto barwne szeregi kawalerji, tłukły o kamienie, o wileński bruk tysiączne kopyta polskich koni, rozszumiały proporce ułańskich lanc, pojaśniały ulice od błysków dźwięczących szabel...

Łoskotem napełniły ulice poligony armat... Przeciągały z brzękliwym, ciężkim turkotem, pochylając swe krótkie, śmierć niosące otwory luf...

Szalało Wilno z radości...



Ostało się wierne żołnierzowi poprzez krótkie, przemijające chwile śmiertelnej trwogi, gdy zdało się, iż nie wytrzyma żołnierz śmiałego naporu kontrataków moskiewskich, że ulegnie cofnie się i odda miasto.

Lecz trwoga krótko trwała... Żołnierz legjonowy gromił a bił coraz dalej, dalej na wschód się posuwał...

Zamieniło się wówczas Wilno w wielki obóz wojskowy, skąd, jak promienie, rozchodziły się błyskawice uderzeń, promieniały blaski coraz to nowych zwycięstw...

Dnie, tygodnie upływały... Mieszkańcy Wilna z chciwością chwytali za każdy numer pisma, z uczuciem nieopisanej ulgi kładli się wieczorem spać, w głębokiem przeświadczeniu, że i jutrzejszy dzień zastanie ich wolnymi...

Ogromny kraj, powiaty za powiatami, miasta po miastach dostawały się w ręce polskie... Po Wilnie — Nowo-Święciany, Oszmiana, Wilejka, Mołodeczno.

Stary Giedyminowy gród wszedł w nowy okres życia, jakiego pokolenia nie pamiętały... Z nim cały kraj, Litwa i Białoruś.

Rozpoczął się okres wolnego słowa, swobody życia, okres — w porównaniu do poprzednich — jakiego nie pamiętali najstarsi na Litwie ludzie...

I to życie, jakie tętni naokół żywym, radosnym pulsem, te słoneczne dni, tak niepodobne do tych, w jakich się dotychczas mieszkańcy tego kresowego miasta wychowywali, te pełne wesela, ruchu, piosnki i muzyki ulice, place i ogrody, niezachmurzona trwogą i złowieszczem przeczuciem przyszłość, — wszystko to zawdzięcza stare Wilno żołnierzowi polskiemu...

Nie powstał on z suchych „realnych" obliczeń ni rachunków, nie towarzyszył mu w jego pierwszych poczynaniach i pierwszych krokach, ciernistych i żmudnych, naród jego...

Z niezapomnianego, letniego dnia 6-go sierpnia wywodzi się jego nowe dzisiejsze pokolenie. Z błyskawic decyzji, z młodzieńczych, „romantycznych“ marzeń o Polsce, ze snów o potędze i o szpadzie, z entuzjazmu i zapału, na jaki zdobywać się zwykła młodzież polska w dniach wielkich, w dniach przełomowych, powstała owa potężna dziś armja, krusząca niezłomnemi ciosy wrażą naokół moc... I rozszerzając dzisiaj granice polskie, rzuca fundamenty pod przyszłość i trwałą moc Ojczyzny ten żołnierz, którego poraz pierwszy w kwietniowy, chmurny dzień ujrzało Wilno...

Tego szarego żołnierza, których tysiące stoi dzisiaj nad dalekiemi rzekami wschodu, których tysiące, niby rzeka wiecznie w dal idąca, przepłynęło przez ulice waszego miasta, tego żołnierza żywot szary i piękny, codzienny i bujnie pyszniący się w kurzawie dymu — chcę wam pokazać. Pokazać takim, jakim on jest w dniach bojów ciężkich i mozolnych, w dniach trudu i przelanej krwi, która wsiąkła gdzieś w piaski litewskiego boru.

*Autor.*







Żołnierz I dywizji Legj. gener. Rydza-Śmigłego, który w kilka zaledwie miesięcy zdołał zebrać już tyle laurów wojennych, wczesną wiosną wyrwany został przez pobór z domowych pieleszy.

W końcu marca, z 5 p. piech. Legj., walczącego od listopadowych dni pod murami Lwowa, wybrani zostali oficerowie i podoficerowie i odesłani do Ostrowia łomżyńskiego, do ogromnego obozu wojskowego, gdzie się miała utworzyć I dywizja.

Przed 1-ym kwietnia zajechaliśmy do koszar w Ostrowiu. Ogromne, czerwone, tak typowe rosyjskie koszary czekały już opróżnione na rekruta, który miał lada chwila nadejść. Część koszar zajętą już była przez 1 p. piech. legj., który się o kilkanaście dni wcześniej zaczął formować, i obszerne place musztry rozbrzmiewały już krzykiem komendy i szczękiem w takt targanych karabinów.

Dla 5 pułku rekrut miał nadejść lada dzień, dziś... jutro...

W kilka dni już wszystko było gotowe. Major Dąb-Biernacki „amcił“ w kancelarji pułkowej, dowództwa poszczególnych bataljonów i kompanji powyznaczano, koszary uprzątnięto, szkoła podoficerska w ruchu. Czekamy na rekruta!

Coś około 1-go kwietnia, zaczęły nadchodzić transporty. Wysypywały się z wagonów tłumy rekrutów z tobołkami, walizkami, skrzynkami, w najrozmaitszego rodzaju, kalibru i wymiaru ubraniach, butach i czapkach...

Tłum... Szary, bezbarwny, bezsilny tłum wyrostków, chłopaków dwudziestoletnich przeważnie, zebranych głównie z Łomżyńskiego i Lubelskiego.

Z tej masy ludzkiej w krótkim czasie trzeba zrobić wojsko. W przeciągu 3 tygodni ten skłębiony przed wagonami na małej mazurskiej stacyjce kolejowej szary swarliwy tłum, gwarny, poruszający się bezładnie, tłoczący się i gapiący na wszystkie strony, ma się stać szeregiem równym, milczącym, jak uciął, na ostry głos komendy, sprężonym na „baczność", w krótki, urwany takt trzaskający karabinem...

Ma się stać z tego żołnierz, idący w bitwie naprzód, rozsypujący się piorunem w tyraljery, lecący jak burza ze szturmowym — hurra do ataku!...

Ma się stać z niego legjonista; prawy żołnierz Komendanta, z iskrzącym okiem słuchający opowiadań o dawnych legjonowych dziejach, z zatrzymanym tchem z dumy i radości serdecznej sprężony wtedy, kiedy surowemi brwiami ściągać będzie szeregi On... Naczelny Wódz...

Takie myśli przewijały się nam po głowie, gdy przed koszary przyprowadzono ów pierwszy transport...

Nazajutrz rozpoczęła się gwałtowna, iście z amerykańsko-legjonowym prowadzona tempem musztra. Wiedzieliśmy wszak, że idziemy na Wilno, że czasu tak strasznie, tak okrutnie mało, że podoficerów brak... Duszę więc z siebie trzeba było wydrzeć, na śmierć się zacharować po łokcie, po ramiona, zachrypnąć całkiem od komendy, mdleć wieczorami z wyczerpania po całodziennej pracy, lecz żołnierza dla Komendanta na czas zrobić... Bo przecież Wilno czeka...

Od białego więc świtu do późnego wieczora orka z wywieszonym językiem.

Gdy sierżant-szef ustawił jako tako ogromną kompanję rekrutów, powciąganą już do ksiąg ewidencyjnych, ogląda ją szczegółowo dowódca kompanji. Stanie zdaleka, by móc lepiej ogarnąć wzrokiem i głosem komendy...

250 ludzi w kompanji... Jak świat-światem, jak legjony-legjonami, nic podobnego się nie widziało. Jezu, co za



kompanja! Toż to świat zawojować można z tyloma chłopa!

I nastrajając na najgroźniejszy ton rozkazy, aby się nie zdradzić ze wzruszeniem (boć to nareszcie po tylu latach wyczekiwania i marzeń, rekrut z poboru wzięty, z wolnej Polski!)... wydawało się sucho dyspozycje kapralom, sierżantom i co morowszym kandydatom na podoficerów ze wowskiej jeszcze wiary, która już leguńskim duchem piątaków nawskroś przesiąkła!

Pierwsze kilka dni nauki były okropne. Zdawało się, że z tego zbaraniałego rekruta nic nie da rady zrobić, że mu się za Boga nie wytłómaczy zachodzeń i zwrotów, przytupywań mocnych a jędrnych w marszu na „baczność", że za nic nie pojmie chybkości zbiórek i rozsypek w tyraljery. Lecz prędzej, aniżeli się spodziewać należało, dostrzegliśmy wyniki... Po trzech dniach dwurząd kompanji stał już jako-tako... Nie wystawały brzuchy i odwrotne części, nie przekrzywiały się głowy do góry ni na bok, nie tłukły się ramiona i beznadziejnie nie plątały nogi przy zwrotach...

Oficerowie, zdala ciągle kontrolując, podoficerowie godzinami całemi tłukąc z poszczególnymi żołnierzami, rotami i sekcjami zwroty, marsze, tyraljery, zbiórki — doczekali wreszcie się jakich takich wyników. Rekrut powoli zaczynał zatracać indywidualne, swoiste pokractwo, gdzieś z tamtej strony Sandomierza czy Narwi zadomowione, począł się z każdym dniem w zwrotach i marszach zlewać w jeden, stężony komendą mur...

— Pierony jasne! jak wy ćwiczycie, ofermy sakramenckie! — rozdziera gardło gdzieś z drugiego końca placu dowódca kompanji i gniewny ten głos dochodzi momentalnie do podoficerów. Zatrzymawszy więc swe sekcje jeszcze raz z beznadziejną cierpliwością wbijają, wbijają w uszy, jak się ma to a to ćwiczyć...

Zachrypnięty najkompletniej złości się pod koniec ćwiczeń dowódca kompanji, wytyka braki i błędy, lecz z trudnością ukrywa zadowolenie, gdyż widzi, że o wiele, wiele lepiej te sakramenckie rekruty ćwiczą dzisiaj, niż wczoraj...

I nagromiwszy zebraną kompanję, natoczywszy wściekłym wzrokiem, „finiszuje" już całkiem łagodne: — No, chłopcy, lepiej już dzisiaj było, niż wczoraj — i choć jesz-

cze źle i sakramencko podle, jednak, chłopcy, nasza kompanja — górą!...

To „górą“ brzmi jak nagły strzał...

Hurra, hurra, hurra!... Trzykrotny, wściekły wrzask rozdziera ciszę polany leśnej, i chłopakom jaśnieją gęby jak słońca, boć przecie widzą dobrze, że dowódca kompanji jest zadowolony...

Więc z radością okrutną jak nie krzykną w marszu powrotnym, aż czuby sosen zadrżą i potrząsną gałęźmi: Miała pani gęsiora... gęsiora... gęsiora!...

Bowiem już i piosenek się wieczorami nauczyli. Po pogadankach ideowych i wojskowych, w których oficerowie silą się na całą elokwencję, jaką w zapasie posiadają, by chłopcom obszernie, jasno a prosto wyjaśnić, co to jest ta Polska, która ich do wojska wzięła, kto to jest ten Naczelnik Państwa, Komendant Piłsudski, i za jakie zasługi został wybrany tym wielkim dostojnikiem, po gawędach o tem, jak „oferma sakramencka“ salutuje, a jak morowy „legun“, zbiera kompanję wkoło sierżant-szef, i dogadując złośliwie, uczy kompanję śpiewać co lepszych piosenek do marszu... żebyście rekruty zamazane nie chodziły jak dziady ze zwieszonymi łbami...

Po dwutygodniowej, niezmordowanej pracy oficerów i podoficerów, którzy od ciągłych krzyków komendy pochrypli tak, że niektórzy z najwyższym wysiłkiem, z tragiczną mimiką twarzy mogli cośkolwiek z siebie wydobyć, zaś inni całkiem na głucho zaniemówili, banda cywilów zamieniła się w żołnierzy. Z każdym dniem coraz bardziej nabiera cech wojskowych, z każdym dniem coraz sprawniej się porusza na ćwiczeniach i w koszarach.

Zanim jednak kolumna kompanji zaczęła w marszu nabierać cech prawdziwego wojska, wiele upłynęło wody i mocno sobie nerwów nacharataliśmy...

Ekwipunek żołnierski kapał... Co dwa co trzy dni dostawał żołnierz coś z umundurowania, lecz, zanim się wyekwipował zupełnie, można było dokładnie dostrzec ową powolną ewolucję z cywila na żołnierza.

Początkowo więc dostał buty. Solidne, mocne, na wzór amerykańskich szyte,... jednak już polskie.

Gdy przyszedł pierwszy transport tej masy trzewików, oglądaliśmy je z prawdziwym uczuciem i wzruszeniem.



Czuliśmy nad sobą własne już państwo, które się nami opiekuje...

Po butach po kolei dostawał żołnierz: karabiny, spodnie, płaszcze, mundury... Lecz ciągle jeszcze czegoś było brak. To karabiny bez pasów, lub pasy bez karabinów, to czapki bez orzełków, lub orzełki bez czapek; ciągle jeszcze z utęsknieniem wyczekiwaliśmy nadejścia resztek wyekwipowania, by wreszcie rekrut był od stóp do głów umundurowany.

Po dwóch tygodniach, gdy już kompanje jakotako przeszły szkołę musztry formalnej i gdy się je ćwiczyło po całych dniach bojową musztrą, w połowie kwietnia gruchnęła nagle wieść, że już... na Wilno.

Transporty nadchodziły za transportami. Podćwiczonego jako-tako rekruta nagwałt ubierano, ćwiczono ostatniemi dniami od świtu do późnej nocy. Wreszcie urządzono ćwiczenia taktyczne nocne i dzienne i pewnego dnia orzeknięto, iż skoro inaczej nie da rady — można z tym żołnierzem pójść w ogień...

Ostatniego więc dnia nadeszły wozy taborowe i konie. Pierwszy to raz w naszem życiu wojskowem dostawaliśmy kompletne urządzenia taborowe, pierwszy raz tabor nasz nie kompletował się z „fasowania“ na prawo i na lewo...

Któregoś wreszcie z pierwszych dni kwietniowych zjechało oczekiwane dowództwo dywizji z generałem Śmigłym-Rydzem, który do tej pory gdzieś na starych, dawnych naszych legjonowych pozycjach wołyńskich tłukł bolszewików i — po dwu dniach gwałtownego pakowania, ładowania, krzyku, rwetesu, sądnego dnia i urwania głowy — 1 pułk piech. i 2 bataljony 5-go ruszały z koszar na stację.

Nasz 3-ci bataljon 5 p. piech. który najpóźniej dostał rekrutów, miał jeszcze pozostać tydzień, dwa tygodnie, by dokończyć wyszkolenia.

Reszta wyruszała. Kompanje za kompanjami, z ogromnym śpiewem, z nowiuteńkiemi karabinami szły w takt, miarowo, równo. Po czerwonych budynkach koszarowych stokrotnie odbijało się echo i gdzieś koło stacji bił w krok marszu ogromny bęben orkiestry...

Pułki szły na Lidę, na Wilno...

Z uczuciem niesłychanej zazdrości spoglądaliśmy na ich wymarsz; wiedzieliśmy, że chociaż za tydzień mamy

wyruszyć, jednak już będzie po wszystkiem... Dość było spojrzeć na wyraz twarzy oficerów, prowadzących swe oddziały.

Ileż w nich było cichej, radosnej, wzruszającej dumy, ileż pewności siebie! Co za pycha ogarnia leguna, gdy z wysokości konia spojrzy na głęboką kolumnę marszową swej kompanji, na kolumnę, którejby nie powstydził się dawniej dobry bataljon...

I widać było wzbiera w nich radosna chęć wielkiego, wspaniałego czynu, nowej, potężnej walki i zmagań, wichrowego pędu naprzód na przodzie pochylonych bagnetów, huraganowego szczęku walki i rozkoszy żołnierskiego zwycięstwa...

A w perspektywie tych marzeń wymarzone, wyśpiewane w tylu piosnkach — to, po Krakowie drugie legendy miasto: Wilno...

Przypuszczenia nasze okazały się słusznemi. Po kilku zaledwie dniach przyjechał pierwszy kurjer z wiadomościami o Lidzie, Wilnie...

Widzieliśmy z opisu walk, że jest dość ciężko; widzieliśmy, że nas tam mocno potrzeba: Podwoiliśmy więc naszą pracę do osięgalnego „maximum" i czekaliśmy z dnia na dzień rozkazu...

Tymczasem napływały transporty mundurów. Ciągle czegoś było brak, a najgorzej odczuwać się dawał brak plecaków...

Dowódcy kompanji wpadali w prawdziwą, serdeczną rozpacz...

— W zębach ćwoki rekruckie będą nosiły koszule i graty swoje? — wołał niejeden w rozpaczy do dowódcy bataljonu, kapitana Bortnowskiego który nic, krom tego, że na głowie się nie postawi i rynsztunku nie stworzy — nie mógł odrzec.

Więc groziło oficerstwo, przedstawiało, że niemożliwy jest wymarsz w pole z takiemi brakami, z rozpaczą w oczach i głosie wołali w menaży, że oni nie pójdą z tak wyekwipowanemi kompanjami, że wogóle to jest skandal...

Lecz, gdy nareszcie przyszedł rozkaz wymarszu, kompanje miały plecaki...

Pozszywano z kolorowych najrozmaitszych koszul, płacht, ze starych części mundurów worki, za pracowitemi, osobistemi wskazówkami każdego z oficerów, i jakoś kompanje stanęły gotowe do wymarszu, bez straszliwie zapowiadanego trzymania rynsztunku w zębach...



W pochmurny, wietrzny poranek kompanje stały gotowe na szerokiej szosie. Przez całą noc ładowaliśmy na pociąg tabory, konie, kancelarje i wczesnym rankiem, przy ogłuszającym marszu orkiestry, kompanje wyciągnęły się w kolumnę marszową...

Wiatr targał połami szarych płaszczów i przez nieokryte jeszcze zielenią, zrudziałe podlaskie pola szła rozgłośna żołnierska pieśń:

Z Warszawy zobaczyć już nam pilno,
To nasze kochane, stare Wilno,
To nasze kochane, stare Wilno...





Odmarsz z Ostrowia. Ładowanie na pociągu.

Naładowany pociąg z wielkim stukiem i wstrząsem ruszył. Kilkanaście wozów zajęła piechota, reszta spiętrzona wozami taborów.

Ogarnęła nas nagle, ot tak, z powietrza wchłonięta, niezmierna radość. Poczucie, żeśmy już skończyli ćwiczenie rekruta, że skończył się ten przeobrzydliwy dla każdego linjowego oficera i żołnierza czas kadry i jej „porządeczków", czas krzyków i wrzasków komendy od rana do nocy,—przeświadczenie, że wreszcie jedziemy na ową wymarzoną Litwę, do nieznanych dalekich stron, do zaścianków laudańskich, do dworków Zosi, Telimeny i Pana Tadeusza,—poczucie lekkości i spokojnego sumienia, jakie odczuwa każdy człowiek po spełnieniu swych obowiązków, a oficer po wyćwiczeniu rekruta tembardziej—wszystko to razem napełniło nas taką radością, żeśmy w wagonie z uciechy poczęli śpiewać, skakać, jak małe dzieci, a... pić, jak najstarsze ze starych leguny.

Pociąg tymczasem mijał stację za stacją. Po krótkim postoju w Małkini zjechaliśmy na ongi petersburską drogę, na drogę wzdłuż sennych, monotonnych równin podlaskich, zrzadka ciemniejących chłodnemi ścianami borów.

W całym pociągu panował przepyszny humor i nastrój. Rekruci, od kilku tygodni puszczeni z pod żelaznej, kadrowej ręki, ciekawie przypatrywali się płaskiej okolicy, śpiewając po kolei wszystkie wyuczone pilnie w koszarach śpiewki. Niejeden z nich zapewne uczuwał tremę i niejasne uczucie niepokoju podczas tej jazdy na front, na „wojnę", lecz naogół udzielił się wszystkim nastrój radosny, nastrój śpiewu i wesela.

Co starsi podoficerowie, którzy przebyli już „lwowską" wojnę, lub jeszcze starsi, legjonowi, pokpiwając z rekrutów, straszyli niesłychanemi okropnościami bitwy, w której zawsze wszyscy giną i nikt, bez utrąconej ręki, nogi lub zgoła głowy nie wychodzi...

Lecz rekruci poznawali po szelmowskich, dowcipu pełnych błyskach oczu, że to „nabijanie na całego", i chcąc wkupić się w łaski „wiary", niezgrabnemi kulasami zaczęli wypisywać na czerwonych z „P. K. P." ścianach wagonów: Legjony Polskie, 5 p. piech... Niech żyje Józef Piłsudski— i różnego rodzaju pozatem potworne groźby pod adresem bolszewików i innych Chińczyków...

Tymczasem pociąg wiózł nas coraz dalej i dalej na wschód. Wiatr targał kłębami dymu, wpadał do otwartych lor i wagonów, awanturował się wszędobylski wśród siana, na którem żołnierze, wyciągnąwszy nogi, porozkładali się jeden obok drugiego, łopotał płótnami, okrywającemi płytkie wozy, zaglądał nawet do kotłów kuchen polowych, bawiąc się sykiem pary, idącej z kotła, pełnego ryżu.

Monotonny stukot kół oddalał nas coraz bardziej od Warszawy, od Kongresówki. Pod wieczór staliśmy nieco dłużej w Białymstoku, a drugiego dnia, już dobrze po południu, stanęliśmy w świeżo zdobytej Lidzie. Na licznych linjach szerokotorowych, stały pociągi ciężarowe, z dawno niewidzianemi rosyjskiemi napisami i zagadkowemi jeszcze wówczas dla nas inicjałami bolszewickiemi: R. S. F. S. R. (dopiero następnego dnia wilnianie objaśnili nas o całkowitem brzmieniu owego skrótu). Obok, na torze wąskim stała, słynna już z lwowskiego frontu, pancerka „Śmiały" obok lśniącej, czystej wytwornej nawet czołówki sanitarnej.



W Lidzie, po porozumieniu się ze stojącem tu dowództwem frontu, zaczęliśmy przeładowywać nasz bataljon na szerokotorową linję. Każdy z dowódców kompanji, świecąc latarniami, osobiście doglądał, by, broń Boże, jakowaś oś lub dyszel przy wozie się nie zepsuł, by który z koni nie złamał nogi w zdradnym przeładowywaniu z wagonów do wagonów.,.

Już świtało, gdy praca była skończona. Zmordowani porządnie, pokładliśmy się pokotem spać. Obudziło nas radosne, głośne wołanie: Wilno, Wilno...

Rzuciliśmy się wszyscy do okien. Pociąg już trajkotał i hałasował niemiłosiernie na zwrotnicach, tor się gwałtownie rozwachlował na dziesiątek linij i przed oczyma, poza wagonami, poczęły się przesuwać pierwsze domy Wilna,..

Zaczynamy się gorączkowo, śpiesznie ubierać. Krzyk naraz się zerwał, bo każdy z nas wołał swego ordynansa.

Wody... mydła... buty nowe... mundur (ten, wiesz, ofermo, z walizki), rękawiczki, szpicrutę,—wołania te przerywały gwar zmieszanych głosów. Każdy chciał się jaknajpiękniej sprezentować w owem zdobytem przed tygodniem Wilnie.

Dojeżdżamy do stacji i po chwili wysypujemy się na peron. Oko przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, z obrazu na obraz; wzrok chciwie wchłania wszystko, co się naokół dzieje...

Więc pierwszą rzeczą, jaka nas uderzyła. była to gromadka dzieci, która się zbiegła do wagonów. Dziwne to były dzieci, jedyne chyba w Polsce... Tak niemiłosiernie wynędzniałe i wybladłe, zbiedzone, chude rączęta wyciągające z żałosnem, śpiewnem wołaniem o chleb...

Przypatrujemy się tym dzieciakom, rozdając jednocześnie wszystek chleb, jaki razem z naszymi ordynansami po siadamy pod ręką, wypytując się skwapliwie tych pierwszych spotkanych wilnian, chcąc jak najprędzej choć jakie takie pojęcie wyrobić sobie o mieście, którego mamy zapewne bronić...

Bronić Wilna! Przez asocjację pojęć, z powodu tylo miesięcznej przez nasz pułk obrony Lwowa, koniecznie nam się zdaje, że i w Wilnie walki będą miały ten sam charakter obronny. Nie wierzymy jeszcze bardzo w naszą militarną siłę, natomiast przeceniamy bolszewików...

W pewnej chwili doleciał do nas niezbyt stłumiony, nawet dość wyraźny huk armat. Gdzieś biły niedaleko działa...

Biją!:.. Aha, drugi Lwów!...

Te bliskie huki, których ucho tyle się nasłuchało na ulicach Lwowa, ostatecznie nas zapewniają, że i tutaj będzie tak samo... Tymczasem schwytaliśmy któregoś z oficerów naszego pułku, który z dwoma pierwszemi bataljonami zdobywał Lidę i Wilno. Zasypujemy go natarczywemi pytaniami; uzupełnia więc nam wiadomości, jakieśmy dotychczas mieli o zdobyciu Lidy i Wilna, pozatem na gorączkowe pytania odpowiada jaka to tutaj wojna...

— Ano, całkiem wesoła, weselsza jeszcze niż lwowska! Bolszewicy siedzą w jednej wsi, a my w drugiej. Jak pójdziemy na noc, to ich nad ranem wyrzucimy, odpoczniemy se przez dzień okrągły i znów zlekka spacerkiem na tyły im się zachodzi. Frontu stałego niema, wojna napoły partyzancka, i dlatego też dla sprytnego leguna „pirwsza klasa" pole do popisu...

Zamęczając go wreszcie do cna bezładnie zadawanemi pytaniami, dowiedzieliśmy się coś niecoś, gdy wtem przelatuje gdzieś od strony dowódcy bataljonu rozkaz: Zbiórka do odmarszu!

Kapitan Bortnowski, dowódca bataljonu, dosiada swej prześlicznej, żywej jak skra „Heli", zaś dowódcy kompanji swych mniej lub więcej rasowych Rossynantów.

Na ramię broń! Kolumna sekcyjna!..

Szczęknęły podkowami wierzchowce, bataljon ruszył mocnym, grzmiącym krokiem. Maszerujemy!

Rozglądamy się ciekawie po mieście, szukając śladów ulicznych walk. Sądząc z opowiadań, z opisów, które czytaliśmy podczas jazdy w pismach warszawskich, zdawało się, że i Wilno, na podobieństwo Lwowa, szczerzyć będzie ranami porozwalanych okien, połamanych ram, potłuczonych szyb i podziurawionych setkami kul ścianami kamienic. Lecz nie! Mijamy ulicę po ulicy, spokojne, jakieś dziwnie ciche, i dopiero przechodząc przez plac Katedralny, ujrzeliśmy na jasnych, wyniosłych kolumnach ślady kul...

Stanęliśmy w koszarach „Ignatjewskich". Smród, brud i zaduch, ślad rosyjskiej wschodniej kultury, „ruskij" naokół duch. Wszędzie widoczne ślady „Sowietskoj Respubliki". Niepozdzierane jeszcze szyldy, napisy najróżnorodniejszego rodzaju „komand" i wszędzie owe dziwne, niezrozumiałe skróty tytułów i napisów...

Dowiedzieliśmy się już coś-niecoś o sytuacji naokół Wilna, która nie przedstawia się nadzwyczajnie, gdyż bolszewicy są ciągle o kilkanaście km. od miasta i zagrażają nawet poważnie linji koiejowej Wilno — Lida. To też, by odwrócić niebezpieczeństwo, kroi się jakowyś ruch na większą skalę.



2-go maja wczesnym rankiem zaalarmowano bataljon. Porcje, wydane na kilka dni świadczą o marszu naprzód; zresztą krótka odprawa przed wymarszem informuje nas o zadaniu. Idziemy na wschód.

Bataljon wyciąga się w długą kolumnę. Przemaszerowujemy z odkrytemi głowami pod Ostrobramską. Po drewnianym bruku dudni równy, mocny krok piechoty; odkryte te głowy zwracają się ku górze, podnoszą się oczy żołnierzy ku Ostrobramskiej,..

Wówczas odsłonięto obraz... Łagodna, święta twarz zdawała się błogosławić żołnierzy, idących w bój...

Po półgodzinnym marszu miasto pozostaje za nami. Przechodzimy obok licznych taborów suwalskiego pułku, którego żołnierze z niekłamaną sympatją i życzliwością spoglądają na nasze piątki, naszyte na odznakach. Bowiem pułk ten zawierał już z legunami braterstwo broni pod Lidą i wie, jak ono jest pewne i cenne, szczególniej, gdy zostało zawarte z 5 pułkiem...

Droga podnosi się łagodnemi falami ku górze, to znów lekko opada. Chłopcy czują, że idą w ogień, bo już zupełnie blisko huczy po lesie i gra echo artyleryjskich wystrzałów... Gdzieś zdala słychać nawet częstotliwe, monotonne granie maszynek.

Mimo to jednak humoru nie tracą, przeciwnie — chcąc okazać swą „morowość", śpiewają, aż stada wron wystraszonych podrywają się ku górze...

Pod wieczór dochodzimy do pół-wsi, pół-osady Niemieża. O kilka km. stąd rozciąga się już linja frontu; my narazie stajemy w rezerwie, lecz prawdopodobnie nie na długo.

Wieś rozrzucona wśród sadów, izby czyste, świeże, kompanje się rozkwaterowują, my zaś szukamy kwatery dla siebie. Wchodzimy do pierwszej izby. Najczystszą polszczyzną wita nas gospodarz i rad chce zagadać, lecz nasza cała uwaga jest zwrócona na ściany. Bo ni mniej ni więcej, tylko świetnemi sztabowemi mapami poobwieszane są ściany, pozalepiane dziury w oknach.

— Skądże wy to macie, te skarby? — pytamy gospodarza.

— Panie, toż Niemcy pozostawiali tego skrzynie pełne. Wiadomoż, że oni...

— Dawajcież więc tego jak najwięcej—krzyczymy, jeden przez drugiego, i chwytamy chciwemi rękoma za pierwsze, które nam przynosi.

... Miniony ślad wielkiej, żmudnej pracy niemieckich sztabowców... Nieprzespane noce, długie wieczory ślęczenia z cyrkiem w ręku... Skreślona litewska ziemia w najdrobniejszych szczegółach delikatnemi, niezawodnemi linjami kierunku wielkich marszów i upartych bitew. Bronzowemi, subtelnemi warstwicami rzucone pagórki i doliny — zapowiedź redut i schronów przed szrapnelowym nagłym ogniem...

Czerwonemi wężykami, zygzakowatemi linjami pokreślona praca tysiąca jeńców—okopy, ganki, linje i rowy, rzut atakowy brygad i dywizyj...

Z wielkiej wojny w litewskiej wiosce ślad...

Zbieramy je chciwemi palcami, sortujemy i sprawiedliwie się dzielimy, by znów z nich szukać kierunków i dróg na wschód, linją ołówka oznaczać krew i walki żmud...

Zapada powoli wieczór. Spędzamy go na wesołej pogawędce z ułanami 11 pułku, których kilku nas odwiedziło. Docinając się, jak zwykle piechota z ułanami, popijamy jakieś cienkie wileńskie wino, przegryzając sucharkami pani Wilsonowej, i oczekujemy na powrót kap. Bortnowskiego, którego wezwano do dowództwa suwalskiego pułku na odprawę.

Stare żołnierskie przysłowie mówi, że „jak sobie pościelesz, to będzie alarm“... I faktycznie w myśl tego przysłowia, gdyśmy już sobie jako-tako posłania urządzili i rozkosznie się wyciągnęli, słyszymy, jak tłucze się po czarnej i ciemnej sieni jakieś indywiduum...

Puka wreszcie do drzwi.

— Wpaść... — krzyczy kapitan Krzyżanowski.

— Głową, głową... dodaje inny.

Po długich ceremonjach z drzwiami ładuje się wreszcie do izby goniec bojowy i w milczeniu, stając przed kapitanem, wręcza mu kopertę.

Chwila ciszy.

Wpatrujemy się niecierpliwie w twarz kapitańską, chcąc



z niej wyczytać nowinę, lecz tajemnicze i chmurne oblicze nie zdradza nic wesołego...

W powietrzu jednak drży śmiech, gdyż czujemy, że zaraz będziemy musieli wdziewać dopiero co zdjęte szatki oficerskie. Szelmowski humor przedbitewny wisi w powietrzu i łypie ku nam urwisowskiem okiem...

— Cyk... mruknął kapitan i, podpisawszy kopertę, oddaje ją gońcowi. Poczem, spojrzawszy na nas, zaklął i... zaczął się ubierać.

Zanosimy się ze śmiechu, gdyż kapitan był z nas wszystkich jaknajdokumentniej rozebrany, — lecz humor się jeszcze powiększył, gdyśmy usłyszeli nagle piekielny wrzask: alarm...

To kapitan, ubrawszy się już napoły, a nie chcąc, byśmy prędzej od niego byli gotowi, dopiero nam teraz rzucił owo magiczne słowo.

Piorunem poleciały precz koce. Jednem kopnięciem nogi rozwalił któryś z nas uparte drzwi i krzyknął w ciemną sień do ordynansów: zawiadomić plutony i tabor — alarm!...

Zakotłowało się w sieni, szczęknęły karabiny, zadzwoniły łopatki i manierki, i ordynansi kopnęli się co duchu do plutonów.

Za chwilę już we wsi zawrzał ruch, nawoływania, komendy, trzask i zgrzyt otwieranych przy ładowaniu zamków karabinowych...

Po kilkunastu minutach kompanja już stała na drodze. Noc była ciemna, wilgotna, lecz już na północno-wschodzie niebo zaczęło się wyjaśniać. Jest 1 po północy.

Za chwilę odprawa. Wchodzimy jeszcze na moment do chałupy, i tam kapitan zakreśla odcinki plutonom, oraz zawiadamia o ogólnych dyspozycjach i sytuacji na prawo i lewo.

Wkrótce śpiesznym marszem zanurzamy się w noc i w powstającą już gdzieniegdzie nad dolinkami poranną srebrną mgłę...

— O ile zdążyliśmy się dowiedzieć z rozmów z oficerami, którzy już bili się z bolszewikami, i z wiadomości, podawanych w komunikatach i ostatnio w nocnej odprawie— walki na Litwie z moskiewskim bolszewikiem zasadniczo się różnią od dotychczasowego prowadzenia akcyj wojennych podczas ubiegłych czterech lat europejskiej wojny. Nawet wojna polsko-ukraińska posiadała swój odmienny charakter

w porównaniu do tych walk, jakie się na tym terenie rozgrywają.

Na ten specjalny charakter litewskiej wojny, oprócz wielu pobocznych, składają się dwa główne czynniki: wielkie obszary przy małej liczbie wojsk i w związku z tem wojna ruchoma.

Na froncie ukraińskim natychmiast prawie po odbiciu Lwowa przez 5 pułk piech., w dniu 22 listopada, rozpoczęły się przeważnie walki pozycyjne, które z krótkiemi przerwami trwały aż do ostatecznej wiosennej ofensywy. Inaczej się dzieje na froncie litewskim. Operują tu na rozległych lesistych przestrzeniach poszczególne grupy, tworzone z pojedyńczych pułków i bataljonów, i prowadząc wojnę „par excellence" ruchomą. Na porządku dziennym są tu kombinacje zachodzeń i obchodzeń z boków i z tyłów, uderzeń od frontu i z flanków—i tak, od chwili zajęcia Wilna kombinacjami ruchu i ognia zamierzył gen. Śmigły wyprzeć wroga jak najdalej na Wschód.

Jak się więc z odprawy dowiedzieliśmy, bataljon nasz został przydzielony taktycznie do jednej z takich grup, mianowicie do grupy maj. Mackiewicza, z którą mamy rozpocząć pewien „ruch", stojący zresztą w ścisłym związku z ruszeniem naprzód całego frontu i rozpoczęciem ofenzywy.

Celem ataku naszej grupy jest miasteczko Rukojnie, na wysokości którego wzdłuż wsi rozciągają się okopy bolszewickie, nieciągłą jednak linją. Każda z poszczególnych wsi, znajdujących się na ogólnym zarysie frontu, jest jako tako ufortyfikowana i na każdą z nich poszczególnie wyznaczona jest jedna z naszych kompanij.

Początkowo maszerujemy kilka dość długich km., całym bataljonem, lecz już po godzinie spiesznego marszu, gdy coraz bardziej poczynało szarzeć, kompanje się rozdzieliły. Kompanja 9-a kapitana Krzyżanowskiego maszeruje na prawe skrzydło i ma stąd uderzyć na nieprzyjaciela.

Cele, które ma osiągnąć, to wsie na południe od Rukojni: Żakieńce, Kiena, Kuli...

Na prawo łączyć ma z nami szwadron 11 pułku ułanów, do którego natychmiast posłano łączników.

Maszerujemy coraz szybciej, mimo iż patrole boczne muszą prawie biec, chcąc utrzymać się na równej linji z kompanją.



Jednak nie opóźniamy marszu, gdyż o jednej godzinie rozpocząć ma się atak...

Idąc na czele kompanji, rozmawiamy o rekrutach. Pierwszy to będzie ich ogień, pierwsza bitwa. Czujemy się nieco zaniepokojeni, czy faktycznie młody ten żołnierz stanie na wysokości zadania. Pocieszamy się jednakowoż „że jakoś to będzie..." w międzyczasie puszczając „wice" między chłopców, którzy na nie, trzeba przyznać, z niezbyt wielkim zapasem humoru reagują.

Jednak nic w tem dziwnego. Czują w ciszy mglistego, szarego poranku, że za chwilę będą w bitwie. Nie widzieli jej jeszcze. W podrażnionej wyobraźni przedstawia im się ona jako okropna rzeź, w której chłop chłopa morduje... Porozdawane ręczne granaty, ciągłe napominania oficerów i podoficerów, przypominanie ćwiczeń bojowych, ta widoczna troska u oficerów o zachowanie się rekruta w pierwszej bitwie — wszystko to razem napełnia ich tem trwożnem oczekiwaniem, pełnem naprężenia nerwów, a jednocześnie, w miarę trwania bojowego marszu, niepokonanem pragnieniem, by sią to jak najprędzej stało, byle prędzej, byle skrócić ten czas oczekiwania... Spokój jednak i pewne skupienie, widoczne na twarzy oficerów uspakaja rekrutów.

Tymczasem dzień coraz większy powstawał i za chwilę, poprzez olszynki nad rzeczką, doliną, w której się posuwamy, zaczęły przeświecać pierwsze blaski wstającego słońca...

Patrzę na zegarek i mapę. Za godzinę, licząc wysłanie patroli, powinniśmy uderzyć na Żakieńce, które oddalone są już tylko o kilka kim.

Maszerujemy ciągle bagnistą dolinką strumyka, który wedle mapy podchodzi aż pod tę wieś.

W pewnej chwili, gdy już dzień był zupełny i wysoko podniosło się oczy słońce rażąc swym blaskiem — na lewo w lasach pod Michałówką, na które szły 11 i 12 kompanje— gruchnął, odbijając się długiem echem, tępy, manlicherowski wystrzał. W moment zatrzaskały ostre rosyjskie karabiny i w ciszy porannej stojący las zatrząsł się od nieregularnego, tępego pacania manlicherów.

Stanęliśmy... Nadsłuchujemy i, orjentując się na mapie, określamy kierunek...

Tak — to zapewne Liwacza patrole starły się pod Michałówką — mówi kapitan.

Ogień za chwilę ucichł. Widocznie ubezpieczenia bolszewickie ściągnięto, gdyż w kilka chwil później zatrajkotały karabiny maszynowe. Jednocześnie bardziej w lewo, zerwał się również krótki, śpieszny ogień i za chwilę umilkł.

To Chilewski z 12 kompanją wlazł również na „burków"...

Przyśpieszamy marsz. Z chwilą uderzenia tamtych kompanij powinniśmy i my uderzyć, lecz to przeklęte bagno, po którem się z niesłychanym wysiłkiem dźwigamy — opóźnia marsz.

Wreszcie po dwu, trzech kilometrach — olszynki poczynają rzednąć i przed oczyma naszemi nagle wyrasta piaszczyste nagie wzgórze z przyczepionemi z boku kilkoma chałupami.

Patrol przedni szybko się wysunął i chyłkiem pognał do chałup. Wyciąga jakiegoś chłopowinę z izby i żywo się go rozpytuje...

Posuwamy się dalej całą kompanją, tembardziej, że na lewo las pod Michałówką aż trzęsie się od gruchotu ognia karabinowego i jazgotliwych „maszynek".

Bitwa się tam już widocznie rozpoczęła na dobre, poprzez strzelaninę karabinową odezwały się nasze karabiny maszynowe, i słychać, jak równo, nieustępliwie, zaciekle sieką opłotki Michałówki.

Chłop zeznaje, że tuż za ową górką, zrzadka porosłą niską sosniną, za szerokim spłachciem białego piasku na szczycie, widać ową wieś Żakieńce, gdzie są bolszewicy...

— Rota ich będzie, panowie, i kulomioty mają. Telefony też „zawieli" i telefonują do Rukojni, do miasteczka...

Kompanja rozłożyła się w dole. Chłopcy zmordowani uciążliwym marszem, pierwszym swym bojowym marszem, pozwalali się na mokrą, wilgotną, łąkę, i przypatrują się naszej oficerskiej grupce, rozumiejąc, że zaraz, za chwilę, rozpocznie się bitwa...

Wychodzę z kapitanem na ową górkę. Ukryci w niskich krzakach sośniny ujrzeliśmy przed sobą wieś. Ze wzgórza dokładnie widać obszerną dolinę o szerokości kilkuset kroków, — za nią na lekkiem wzniesieniu rozłożoną, drugą wieś. Nie widać tam najmniejszego ruchu — spokój zupełny i cisza...

Spoglądamy w lewo. Poza przepyszną zielenią łąk, tuż obok ciemnej, ostro się odcinającej linji czarnego lasu, nieregularnie porozrzucane chałupki Michałówki.



Tam już się tłuką na ostro. Rwie stamtąd szybki, gorączkowy ogień rosyjski i, wpadając w las, gdzie rozłożyły się kompanje Liwacza i Chilewskiego — odbija się tysiącznem echem trzasku ekrazytówek i jazgotu karabinów maszynowych.

Nerwowa strzelanina bolszewicka, chwilami huraganem ognia się zrywająca, świadczy, iż tam robota idzie solidna.

Przed nami cisza. Cała uwaga bolszewików zwrócona została prawdopodobnie na Michałówkę.

W pewnej chwili leniwym ruchem zwrócił się do mnie kapitan:

— No cóż, — jak myślisz? zaczynamy?

— Ano — trza będzie...

— Myślę, że ich jest tam niewielu — siupnąć odrazu...

— Pewnie, co się będziemy bawili. Raz, dwa, pchnąć plutony, nie wdawać się w przewlekłą strzelaninę, siupnąć na „hura" i kuniec...

Kapitan odwrócił się twarzą do kompanji i podniósł wysoko rękę.

Wracam do plutonu. Mój pluton na prawo, pluton Józka Grzyba na lewo, w rezerwie pluton Młodkowskiego; lekkie „maszynki" Wolskiego na wysokości rezerwy — ciężkie karabiny maszynowe Nowaka w środek!...

Za chwilę dwa plutony rozciągnęły się w długą linję.

Wyrównać! kaprale, uważać na swe sekcje!—maaarsz!...

Dźwignęła się tyraljera. Chłopcy pochyleni, z karabinami w ręku, rozsypani w pyszną, równą linję, powoli, tym spokojnym, przedbitewnym krokiem piechoty poruszają się naprzód.

— Na krok, na dystans, na marsz, co chwila zwracają uwagę oficerowie.

Za moment wynurzamy się z niskiej równiny. Wówczas — bieg!

— Naprzód... biegiem marsz!...

Zatupotały dziesiątki nóg, zatrzęsły się chlebaki, manierki i łopatki, wzdłuż całej linji tyraljerskiej przeleciał głuchy chrzęst biegnącej piechoty.

Naraz strzał!... jeden... drugi... trzeci!...

Ostrym świstem zdarły gałązki sośniaków pierwsze loty kul...

Roztrzaskały się wnet donośnym jękiem ekrazytówki;

z cichej wsi wybuchł nagle alarmowy, gorączkowy, siekący świstami kul ogień piechoty...

Naprzód!... naprzód!... biegiem!...

Pochylona w ogniu linja pędzi ku wsi z nadzwyczajną szybkością. Ogień zaś rośnie coraz bardziej, wpada w świadomość — jako nieustanny nerwowy trzask w bębenkach usznych...

Po kilkunastu sekundach gwałtownego biegu — rozgłośnym, ostrym, prawie zwycięskim jazgotem ozwały się bolszewickie „maszynki".

Nieprzerwany, ciągły świst, jak gdyby ogromne stado dzikich kaczek przelatywało nad głowami, otoczył nas ze wszystkich stron...

Wówczas od strony, gdzie biegł kapitan — ozwał się, przedzierający się z trudem poprzez trzask ognia, krzyk rzuconej komendy padnij!...

Linja, nierówna już i sfalowana, wyrżnęła w miękką, wiosenną ruń...

Do wsi mamy jeszcze celownik 600. Tyraljera zapadła w ziemię, ogień coraz bardziej zaczyna szaleć...

W pewnej chwili oglądam się poza siebie i widzę kapitana, jak wlecze ciężko za sobą nogę, jak odchodzi w tył...

Aha, ma dość!...

Szybka myśl — Tadek Młodkowski z plutonem w rezerwie, Sławek ranny!...

Za lotem myśli zerwał się natychmiast krzyk: od prawego, sekcjami naprzód!...

Chwila bezruchu! W zalewie kul karabinu maszynowego chłopcy leżą, jak zdrętwiali.

Zrywam się z miejsca. Dopadam pierwszej sekcji. Wściekły głos: — naprzód!...

Poderwali się! Przebiegli ze trzydzieści kroków — zanurzyli się, zapadli w brózdy!

— Strzelać, celownik 600!..

Biegnę do drugiej sekcji. To samo. Tuż obok wyrasta wysoka postać Wacka Plackowskiego, sierżanta. Gna inne sekcje. Przez moment widzę, jak Józek Grzyb i Julek Neumark podrywają następne...

Krzyk „naprzód", przebija trzask ognia i świst kul, prze rekrutów coraz dalej i dalej...

Za chwilę wysoki ton ognia rosyjskich karabinów rozwalił pierwszy, głuchy strzał manlichera. Posypały się za



nim wnet inne i w kilka sekund pysznie, rozkosznie ozwały się wszystkie nasze ciężkie i lekkie „maszynki" niskim, równym, długiemi pasmami snutym ogniem:

Huragan rosyjskich strzałów natychmiast zelżał...

Nasze karabiny maszynowe rozpoczęły prawdziwy popis. Ppor. Nowak koncertował...

Nieustępliwy, zajadły, przerażający dwugłos ciężkich „maszynek" zlał się teraz z gruchotem ręcznych karabinów w jeden druzgocący swą mocą i potęgą — potok ognia. Chłopcy dorwawszy się do celowników, tłukli na „warjata", na oślep, na "hura", wylewając w tym nieprzerwanym łoskocie strzelaniny całą swą tremę przedbitewną, wszystek swój pierwszy strach...

Żakieńce powoli ucichały...

Po kilku minutach, gdyż już widoczną się stała nasza przewaga ogniowa stukilkudziesięciu karabinów i czterech maszynek — ucichły zupełnie bolszewickie „pulemioty"...

Ogień karabinowy jeszcze trzaskał, lecz coraz bardziej tchórzliwie, milkł... wreszcie zcichł...

Ostre, przeraźliwe gwizdki na „bezpiecznik" poczęły przedzierać gruchot ognia, walczyć z nim, i uciszać pole...

— Powstań! Bagnet na broń!...

Poderwała się porozrzucana nierówna tyraljera. Z wilgotnej, tłustej, lepkiej roli powstawali żołnierze, utytłani w błocie jak nieboskie stworzenia, zgrzani, spoceni biegiem i walką ogniową, czarni od brudnego potu, który im w gorącym, majowym dniu zalewał twarze...

— Biegiem marsz!...

Znów z chrzęstem ruszyła linja. Pochylona naprzód, biegła, co sił starczy, bo oto z lewego skrzydła przedarł się krzyk o kawalerji bolszewickiej, która gdzieś w tej stronie się przemykała...

Jednocześnie od strony Michałówki poczęły nas witać długie, jękliwe świsty.

Tam nas już spostrzeżono i skierowano ogień...

Dopadamy do wsi. Tadek Młodkowski rozwija się z plutonem frontem na Michałówkę z dwiema „maszynkami, — reszta gna na stok góry za Żakieńcami i na prawe skrzydło....

We wsi gwałt i rejwach...

Przy płocie, z jasną, żółtą plamą porozrzucanych łusek

przewrócony „pulemiot“ bolszewicki, na drodze porzucane karabiny, jakieś czapki...

Plącze się między nogami zerwany gwałtownie telefoniczny drut...

Z za chałup i stodół lękliwie i trwożnie wysuwa się z podniesionemi rękoma grupka jeńców...

Reszta w popłochu panicznym wpadła w las, za górę...

Michałówka tymczasem wzięła nas pod tęgi ogień. Kule rżną muzykę wściekłą po opłotkach, z niesamowitym trzaskiem rwą drzazgi z chałup, z drzew...

Żakieńce wzięte. Lecz zadanie nieskończone; sytuacja niezbyt świetna, gdyż Michałówka jeszcze nieruszona. Walka tam wre z niesłabnącą siłą i każdej chwili może nas wplątać w jakieś kontrataki...

Oblatuję więc wieś, każę się okopywać i biegnę do Młodkowskiego.

Siadamy za jakąś chałupą. Wieś jest w ogniu z dwu stron, bo i od Rukojni jakieś maszynki zaczynają trajkotać, a i po chwili, z trzaskiem, rwetesem, hukiem i dymem wpadł między chałupy pierwszy granat i zaraz za nim zawisła w powietrzu biała chmura szrapnela...

Posypał się grad kul...

— Siedzimy za jakąś chałupą i popijamy mleko, które już niezrównany mój ordynans skądś zachwycił.

Rzucamy przypuszczenia o sytuacji. Spodziewamy się, że Michałówkę lada chwila weźmie Liwacz i Chilewski — a jeśli nie, to poczekamy tych kilka godzin do wieczora,— a przecież rozkaz jakiś nadejdzie i sytuacja się wyjaśni. Tymczasem chłopcy się okopią i będą tłukli...

— No, do wieczora jeszcze mamy czasu sporo, — mówi Tadek, — dopiero jedenasta...

— Czy być może?...

— A tak, jedenasta!

Faktycznie! W walce, która trwała zaledwie półgodziny, czas tak się w wielości najrozmaitszych wrażeń wydłużył, że zdawało mi się, jakoby to już była godzina najmniej 5 po południu. Złudzenie tembardziej było silne, że prześliczna pogoda, z którą rozpoczęliśmy dzień, w czasie bitwy niepostrzegalnie zgoła zamieniła się na dość chmurny i chłodny dzień...

Minęła jeszcze godzina, później druga... Odwiedzam plutony z Młodkowskim; włóczymy się między tyraljerą,



żeby chłopaki nie myślały, że wojna taka straszna, i wszystkie kule trafiają, — i czekając na wzięcie Michałówki, rozpytujemy się o straty.

Zostało rannych coś pięciu czy mniej nawet na polu, po których już poszli sanitarjusze.

W pewnej chwili ogień skierowany na nas nieco ucichł, natomiast wzmógł się niesłychanie pod lasem, gdzie siedziały dwunasta i jedenasta, tłukąc w Michałówkę...

Wychodzimy na skraj wsi, by obserwować w dole leżącą tę wieś, tak uparcie bronioną, i niecierpliwie oczekujemy na szturm, jaki niezawodnie zaraz powinien nastąpić...

Tymczasem szare, spłowiałe, prawie jesienne chmury pokryły horyzont i począł mżyć drobny, gęsty kapuśniaczek.

Chłopcy już okopali się porządnie na wzgórzu wokół Żakieniec i poznaczyli zieloną, świeżą ruń żółtemi plamami wnęk strzeleckich...

Tymczasem ogień nieco zelżał i ostre świsty kul rzadziej przeszywały powietrze. Główna uwaga bolszewików zwróciła się widocznie na Michałówkę, gdyż nawet przeniesiono artyleryjski ogień z Żakieniec na Liwacza i Chilewskiego...

Raz po razie wykwitały tam pod wsią wysokie czarne słupy targanej granatami ziemi i przez zamglone deszczem pola leciał tępy łomot wybuchów...

W pewnej chwili gwałtowne gruchotanie, niepowstrzymany gwar strzelaniny, kipiącej, bulgocącej, jak war w garnku, raptownie się urwał.

W tym samym momencie przerwaliśmy i nasz ogień. Jasnem się stało, że zbliża się już finał...

I za chwilkę, z opłotków Michałówki poczęły wybiegać bezładne kupy żołdactwa, w popłochu, bez najmniejszego porządku, umykając co sił ku Rukojniom...

Wnet wydarły się komendy: celownik 1300—strzelać...

Tępe pacanie manlicherów i w mig pracowity, równy ogień karabinów maszynowych gonił cofające się bezładnie kupy...

Skoczyliśmy do „maszynek“, by przez szkła obserwować wynik, który faktycznie był nadzwyczajny.

Zaledwie nasze karabiny maszynowe się odezwały — kupy bolszewickie wsiąkły, zapadły w ziemię; ogień nasz przygniótł je formalnie do ziemi...

Wówczas i tamte kompanje rozpoczęły pościgowy ogień, z pod którego, zdawało się, że nie wyjdzie ani jeden „krasnoarmiejec"...

Próbowali się jeszcze podrywać, chcąc pojedyńczo szukać w ucieczce ratunku—lecz momentalnie musieli się zapadać z powrotem...

A tymczasem ppor. Nowak pracował.

Ze zmarszczoną brwią, ze skupieniem na twarzy, ze wzrokiem, utkwionym w muszkę celownika — kierował spokojną ręką „maszynką", która trzęsła się konwulsyjnie, zajadle, tłukąc równym, śmiertelnym porywem strzałów swą bitewną pieśń: ta, ta, ta...

Za chwilę z ogrodów Michałówki, z ciemnego rzutu chałup, wyraźnie się odcinającego na jasnem polu, wysunęła się długa, równa tyraljera.

To kompanja 11 i 12 szły na Rukojnie...

Równocześnie z niemi, z lasu, bliżej ku nam, wyłoniła się jeszcze jedna linja i, wchodząc w lukę między Żakieńce a Michałówkę, również szła w kierunku na biały kościół miasteczka. Natychmiast skoczył tam Pacholski na łącznika dowiedzieć się, co za kompanja, my zaś stajemy, by obserwować...

Punkt obserwacyny wspaniały. Z wysokiego wzgórza spoglądając na dość szeroką dolinę, mamy jak na dłoni Rukojnie, tyraljery maszerujące na miasteczko i całą bitwę, która tym atakiem ma się zakończyć...

Rzadka pukanina dochodzi stamtąd; od czasu do czasu tylko zabłąka się jakiś jękliwy ton dalekiej bolszewickiej kuli...

Wielkiego oporu zapewne tam nie napotkają. Rukojnie prawdopodobnie zaraz wezmą.

Po godzinie wraca Pacholski. Dowiadujemy się, że to kompanja 1-go pułku z por. Wendą, który właśnie przed chwilą pod samem miasteczkiem, został ranny.

Koło godziny drugiej po południu bitwa już była skończona. Rukojnie zajęte po krótkiej zaledwie strzelaninie.

Ściągamy plutony z okopów. Zbiórka, w kozły broń, chłopcy do chałup i goniec po kuchnie — to były najpierwsze zarządzenia. Pozatem placówki lekkie „na wszelki wypadek" wystawione i—wreszcie spokój zupełny.



Wchodzimy do jakiejś ciasnej brudnej chałupy i zwalamy się na łóżka, ławy, stołki.

Krzyk, tak okropny, jak w największym ogniu, wypadł za drzwi, do ordynansów: jeść, jeść...

Zmordowani lataniną w ogniu, niewyspani również, klnący niosamowicie — lecz w pysznych humorach, rozpoczynamy naturalnie opowiadania o hecach z rekrutami.

Biegniemy — rozpowiada któryś z nas — aż tu wali mi się pod nogi jakaś kupa.

Patrzę — żołnierz. Ma dość — myślę sobie. Lecz nie wierząc, na wszelki wypadek, doskakuję:

— Co ci jest?

Trup... Ani drgnie.

— Co ci jest! Rannyś?...

Podnosi się zwolna przerażona twarz, oczy aż dzikie ze strachu...

— Strzylają, panie poruczniku!..

Cóż z tego, ośle, że strzelają. Patrzaj, ja stoję i nic mi nie jest! Oni strzelają do leżących — krzyczę mu w trzasku ognia...

W tej chwili wyrżnęła przed rekrutem w bajor jakaś kula, aż mu błoto opryskało twarz...

— Leć — krzyczę — bo celują do ciebie! Leć, aby prędko!..

Poderwał się. Zebrał się w sobie i kopnął tak, że mało linji nie przegonił.

Biegnę za nim.

Wyrżnął znowuż w jakiś rów, pełen wody. Lecz w tym samym momencie: siup, siup — dwie kule w wodę obok niego...

W tej chwili poderwano linję naprzód. Widzę, jak mój rekrut śmiga na samym przedzie — leci do tych kul, do wsi, jakby wierzył, że tam go już nic złego nie spotka...

Po bitwie pytam się go — opowiada ppor. dalej — bo chłopak z mego plutonu: Trafili cię?...

— A nie cegóżby mieli trafić — panie poruczniku! I szczerzy do mnie gębę, okrutnie rozradowany...

Bo i pewnie. Trafiają tylko takich, co się boją — podpuszczam go.

— A jakże, prawda—mówi z najgłębszem przekonaniem mój rekrut—tamtych co ranili, to bez to, że zostali w tyle...

A widzisz — mówię mu i jestem pewien, że w następnej bitwie będzie już leciał naprzód, jak warjat, tak go te pacanie kul przestraszyło...

— Oni sobie wyobrażali — mówi Młodkowski — że każda kula trafia. A teraz już jeden z drugiego się naśmiewa — o patrzajcie...

Wyglądamy przez szyby. W grupce plutonu jakiś dowcipniś, który się w bitwie najbardziej może bał, teraz obmawia innych. Tak komicznie naśladuje ruchy kolegów, że pluton cały huczy mocnym rekruckim śmiechem...

Patrzymy na siebie z uśmiechem. Wyrasta już z nich żołnierz, któremu tego rodzaju „wice" wyrabiają konieczną w każdym ambicję.żołnierską...

Czas mija na pogwarce; humor się jeszcze poprawił, gdy przed nami stanęła jajecznica, a całkiem już wesoło było, gdy zajechał konno zgrzany i zmordowany adjutant bataljonu i przywiózł wiadomości. Najlepszą z nich była ta, że do jutra się stąd nie ruszamy — i możemy spać.

W zdobytych Żakieńcach przesiedzieliśmy resztę dnia i noc w spokoju zupełnym.

Od adjutanta dowiadujemy się o losach tamtych kompanij, 11 i 12-ej. Jak się okazało, miały one cięższe zadanie od naszej kompanji i straty większe, gdyż Michałówka była obsadzona 6-ma karabinami maszynowemi i silniejszą załogą.

Jednakowoż dano im radę. Chilewski i Liwacz podprowadzili kompanje na mały celownik, dzięki krytemu podejściu przez las, i po zażartej walce ogniowej — nagłem gwałtownem uderzeniem wzięli wieś.

Zdobycz bataljonu dość duża, gdyż wzięto 4 karab. maszynowe i ciężarowe auto z amunicją już w samych Rukojniach, pozatem trochę jeńców.

Pod wieczór zajechali ułani i szwadron 11-gu pułku, który chronił nam podczas akcji prawe skrzydło. Dostali rozkazy wywiadów wprzód, i część szwadronu ruszyła dalej.

Tymczasem zapadł szary, chmurny mrok. Mgły ciężkie, wilgotne włóczyły się leniwie po łąkach i niskich zaroślach. Zapadła noc.



Późnym wieczorem wysłano lekki patrol do kilku okolicznych wsi, który stwierdził zupełny spokój. Wszędzie, w każdej nieomal chałupie panuje nadzwyczajna radość. Chłopi skwapliwie rozpowiadają o bolszewikach, znoszą wiadomości potrzebne i niepotrzebne, często wyciągają ukrytych w słomie przerażonych „krasnoarmiejców" i oddają ich w nasze ręce...

W kilka sekund spaliśmy już jak zabici...

Następnego dnia — marsz. Z tętentem wpadł pod chałupę ułan i przywiózł pisemny rozkaz natychmiastowego marszu do Miednik, Z treści rozkazu widać, że pozostałe kompanje, które już ruszyły na Miedniki. nie zastały tam nikogo, prócz uradowanych, wybiegających naprzeciw z krzykiem radości mieszkańców małego miasteczka.

Ścigamy placówki — zbiórka w ordynku — i marsz.

W powietrzu wisi szara, mokra mgła, — od czasu do czasu wiatr rozniesie ją po polach i wówczas ukazują się one wilgotne, chmurne, ociężałe od wilgoci, jaką przesycone jest powietrze.

Klniemy — jak sto djabłów. Polna, prawdziwie litewska, nie polska droga czerni się grzęskiem błotem wśród szarych pól...

Lecz humor mimoto trwa i wzrasta z każdym nieomal kilometrem marszu, wreszcie rozbrzmiewa głośnym, szerokim śpiewem, gdyśmy weszli na bity trakt i gdy w równy krok uderzyła kompanja po twardej szosie. Poleciała piosenka polska w dal radosnym, mocnym chórem, rzucana we mgłę i deszcz na litewskie pola, odwykłe od polskiej, żołnierskiej pieśni od wielu dziesiątek lat...

Żołnierze w przerwach między jedną a drugą śpiewką bawią się, dokazują, jak małe, swawolne dzieciaki.

Śmiech, zdrowy, wesoły śmiech ściga się, igra z żołnierskim śpiewem...

Około południa dochodzimy do małej, nędznej mieściny, Miednik, gdzie zastaliśmy rozkwaterowany cały bataljon. — W miasteczku ruch i gwar...

W ciasnej uliczce stoją przy koniach ułani, źli dzisiaj i wściekli na piechotę, która im postrzelała konie.

Nic w tem jednak dziwnego. Ułani, zajmując zwykle pierwsi opuszczone przez bolszewików miejscowości, „odkuwają się". Często-gęsto chycą jakiegoś komisarza z dobrze nabitą kierenkami, dumskiemi, carskiemi kabzą,—często-gęsto w rozgwarze strzelaniny wśród chałup zdobywanego miasteczka poturbują jakiegoś żydowinę, zbyt na bolszewika patrzącego, — niekiedy przytrzasną jakąś rotę bolszewicką, cofającą się bez osłon; — to też strój ułański w polu niewiele przypomina tych kraśnych, żółtych, niebieskich kawalerzystów, jakich się spotyka na ulicach Wilna czy Warszawki...

Pooblekani w długie żółte rosyjskie płaszcze, w różnorakie kurtki i czapki, najrozmaitszego rodzaju, fasonu, kroju, wymiaru i jeszcze ciekawszej mody — przypominają wszelką inną kawalerję o wyglądzie „strachów na wróble", byle nie polskich, tradycyjnych ułanów...

Nic też dziwnego, że młody rekrut z piechoty, stojący gdzieś pod drzewem na placówce, gdy ujrzy nagle o jakieś sto kroków wyłaniającą się z krzaków kawalerję w bolszewickich kolorach, wali bez chwili namysłu — nie pytając, kto i co jedzie.

Wogóle rekruci nasi, niewiadomo, z jakiego powodu, czują ogromny respekt dla kawalerji, o której wie każdy stary żołnierz, że nic łatwiejszego, jak rozgonić kilkoma salwami najgroźniejszy nawet szwadron kawalerji, który natomiast nigdy nie wytrzyma silnego a nagłego ognia piechoty.

To też przechodzącą kompanję witają ułani cichemi złorzeczeniami i obzieraniem się z podełba, gdyż któraś z dzisiejszych placówek w Miednikach, ujrzawszy znagła wracających z patrolu ułanów, wzięła ich za oryginalnych bolszewików i postrzelała kilka koni...

— Mniejsza o to — użala się któryś z ułańskich oficerów, — żeście nas mogli poturbować... Ale konie... konie...

— No, nie nasza kompanja — bronimy się — pozatem, wam nie chodzi prawdopodobnie o te konie, tylko, poco ta piechota strzelała?...

Śmiejąc się z kłopotu ułanów, radzimy im na przyszłość zdaleka dawać znaki piechocie, która, sprowokowana ułańsko-bolszewickim wyglądem, może jeszcze nieraz bigosu nawarzyć i przekomarzając się z „wyłogowcami", zajmujemy kwatery...

Izba czysta, schludna, — ludność polska, — więc kwaterowanie zapowiada się zupełnie nieźle.

Marsz naprzód, rozpoczęty atakiem na Rukojnie, jest tylko, jak się dowiadujemy z odprawy, na którą nas zaraz po rozkwaterowaniu wezwano, jednem z ogniw ogólnej ofensywy, powziętej przez gen. Rydza-Śmigłego: Ofensywa ta ma na celu nietylko ubezpieczenie zdobytego Wilna, lecz ogólny marsz na wschód, pozostający w ścisłym związku z zamiarami Naczelnego Dowództwa, by w jak najkrótszym czasie uwolnić od bolszewickiego jarzma ogromną połać krajów białorusko-litewskich.

Więc na południe od nas legjonowe oddziały 2 dywizji prą na Oszmianę, nasza grupa wali na Soły, Smorgoń, zaś grupa ppłk. Tokarzewskiego i grupa mj. Dęba-Biernackiego na Niemenczyn, Podbrodzie, Święciany...

Na odprawie u kapitana Bortnowskiego, na której wbrew zaproszeniu, nie piliśmy „słodkiej ze Lwowa", w dwu ciasnych, zarzuconych słomą pokoikach ciemno od dymu papierosów, tłok od zebranych oficerów, krzyk, tumult i wrzawa...

Wiecznie wyjeżdżający do Krakowa w sprawach służbowych (w Tarnowie ma żonę) oficer kasowy stara się przekonać kapitana o konieczności swego wyjazdu po sukno na mundury; lekarz bataljonu, gadatliwy pełen ferworu z humorem opowiada o swoich rannych i o ranie kap. Krzyżanowskiego, która, jak się okazuje, nie jest ciężką; w kącie, otoczony grupką „druciarzy", drze się w niemożliwy sposób przy telefonie łącznikowy oficer „murzynek" Staub (Staub, podaj no kieliszek — boś od łączności...); w drzwiach zaś, w historycznych swych sztylpach, adjutant—senior wedle lat, junjor wedle stopnia — Krzyżanowski, trzaskając szpicrutą o sztylpy (końby się uśmiał z tych sztylp) — odprawia we właściwy sobie rozkoszny — głośny sposób różnego rodzaju sierżantów taborowych...

W kącie zaś, porozkładani na słomie, otoczeni kłębami dymu z oryginalnej, przepysznej białoruskiej machorki, którą z powodu chronicznego braku innego tytuniu musimy nolens-volens palić, gwarzą o przypadkach wczorajszej bitwy komendanci kompanij co bardziej stęsknili „popijawy“ dowódcy plutonów, którzy, dowiedziawszy się o „słodkiej ze Lwowa“, zaszli do dowództwa bataljonu — ot, tak sobie, „na kibica“...

Więc ogromny, o jasnych oczach Chilewski słucha uważnie, wtrącając od czasu do czasu słowo, co prawi z kokieteryjnemi dołeczkami na twarzy, uśmiechnięty Liwacz; obok Jóżko Drotlew po lwowsku zaciąga, dopominając się wcale niedwuznacznie o tę „słodką“...

— Już, już jadą — uspokaja adjutant — psiekrwie te taboryty wlazły gdzieś w błoto z wozami bataljonowemi, i szukaj później tej słodkiej — pieronny jedne!... — kończy z najwyższem oburzeniem, wstrząsając się na samą myśl, że faktycznie te „pierońskie tabory“ mogą gdzie zaprzepaścić „słodką ze Lwowa“....

W pewnej chwili ruch się jeszcze większy uczynił, i 2 żołnierzy pod bagnetami wprowadza grupkę bolszewików i dwóch rekrutów, z 9 kompanji, którzy przepadli podczas ostatniego, patrolu po bitwie.

— Skądżeście się wzieli? — pytam, gdyż obydwaj wczoraj wpadli na ubezpieczeniu na silny patrol bolszewicki i zginęli,—w niewoli byliście?...— i oglądamy ich oberwane mundury, smętnie się obwieszające, bez pasów i ładownic...

— A skocyli do nas, panie porucniku, jakeśmy szli na ubezpieczeniu. Od tyłu doskoczyli, chwycili za karabiny i pognali. Bez cały czas poganiali nas kolbami; pas, ładownice, pieniądze, wszystko wzięli i strasznie się odgrażali, jako my „birziu... burziujazję“ bronimy i „proterjat“ bijemy... — nie mogąc się wyjęzyczyć — ciągnął żołnierz..

— No, co dalej? co dalej? Jakżeście im uciekli?...— pytamy z ciekawością.

— A gnali nas bez cały dzień, w środek roty wziąwszy, aż do Szumska. Tam zapomnieli o nas bez chwilę, to my chyc na strych, gdzie nas gospodarz tamtejszy w siano dobrze zagrzebał. Siedzieliśmy tam z kilkoro godzin, aż tu krzyk w izbie i w całej wsi. To „razwiedka“ ich wpadła, krzycząc, że „polaki nastupajut“ i że „udirajtie towariszczi“... Krzyk się wtenczas taki podniósł, że poniektóry karabinu nie wziął i uciekli wszyscy, powiadają chłopi, na Soły. To my zaraz wyszli ze strychu, a tu już i patrol z 12 kompanji przyszła,..



— No, to chwała Bogu! Wracajcie do kompanji i zameldujcie się u sierżanta. Dobrzeście się spisali, chłopaki...

Z pomiędzy żołnierzy wypchnięty naprzód występuje ogromny, tęgi chłop. Wysoka, barania czapa podnosi jeszcze jego wysokość tak, że chłop omal głową do powały sięga. Jeniec. Poddał się sam, odłączył się od swego oddziału, od baterji.

Z punktu mówi nam po rosyjsku, że on „bywszy awstryjskij sołdat i snaczała wojny w plen popał“...

— A z jakichś ty stron?—Niemiec, Rusin, Węgier?...

— Ja Polak, pan—zaczyna z polska przeciągać — od Tarnowa... I wylicza cyfrę jakiegoś tam regimentu austryjackiego.

Spoglądamy na siebie ze zdumieniem. Polak i żeby w przeciągu kilku lat najkompletniej prawie języka polskiego zapomnieć... coś nadzwyczajnego!...

— Ja, panowie, w Sybiry był czetyre goda. Tam wsio ruskije, tak i zapomniał — plączą mu się polskie słowa.

Niezbyt mu początkowo wierzyliśmy, lecz, gdy rozgadał się bardziej i gdy, sięgając z trudem do dawno zapomnianych słów, wyrzekł, „zugs i kompani-komendant“ — nie mieliśmy wątpliwości, że to najautentyczniejszy austrjacki „trep“ przed nami stoi. Jak się dalej okazało z jego słów gdzie służył w baterji prawie sami są Polacy, dawni jeńcy, i wszyscy czyhają na sposobność, by się dostać do niewoli, do Polski wrócić...

Częstujemy go papierosami i, obiecując, że do domu wróci, że jak sam się poddał, to go w obozie jeńców nie będą Polacy trzymali — pocieszając jego chłopską, stęsknioną do kraju duszę, rozchodzimy się na swoje kwatery.

Tabory jeszcze nie przyszły i „słodką ze Lwowa“ szlak widocznie trafił.

W polu się rodzi żołnierski humor. Tam, w bitewnym znoju—na granicy najpełniejszego, bujnego, wiosennego życia, a nagłej, w trzasku ogniowym spływającej cicho śmierci — rodzi się ów jedyny, nieporównany, szelmowski humor straceńców dni swego życia, przeciętego kulą — rodzicielką krwi, którzy z tak lekkiem, zda się, sercem odchodzą na drugą, mroczną stronę...

Śmiech...

Przelewa się kipiącą, wartką falą, gdy siwa, wydłużona kolumna piechoty przepiera się przez żmudne, litewskie piachy — drży rozochocony tysiącami rakiet-dowcipów, wypadających z uginającego się pod rynsztunkami, spracowanego, szarego węża kolumny marszowej — rozbrzmiewa głośnym, radosnym, tęgim porywem pieśni, rzucanym w głuchą ścianę borów — wykwita z pod nasuniętego daszka maciejówki z błyszczących weselem kpiarskiem oczu, wlokącego się cierpliwie piechura, który nigdy nie zazdrości ułanowi konia...

Trzyma się piechoty śmiech, jak serdeczny druh, w najcięższych chwilach wypróbowany, wierny przyjaciel, co nie opuszcza nigdy.

Śmiech, który koi szarpiący ból, tłumi bolesny jęk i spogląda wesołem okiem na przeraźliwie pusty, chlebak, sypiąc klątwami tak zabójczo straszliwemi, jakich nikt nigdy nie opisze, bo nikt ich nie wydrukuje...

Wyrywa się śmiech radosnym mimo bólu, świetnym okrzykiem leguna, który trzaśnięty gdzieś kulą w podołek, z wrzaskiem się z linji podrywa, krzycząc w niebogłosy: do Meranu jadę... do Meranu...

Czai się śmiech w przygniatającym, chybotliwym poświście—poszumie ciężkiego granatu, zbliżającego się z psim skowytem niechybnie, nieodwołalnie ku rozłożonej w piachu tyraljerze, by za moment trzaskiem piorunu, straszliwym wstrząsem wybuchu rozjęczeć się setkami odłamków w powietrzu—gdy się gdzieś od kaprala czy frajtra spokojny podnosi głos: te, rekrut, uważaj, bo ci przypadkiem oko zapruszy...

Leci, gna, skokami sunie nierozłączny nigdy, za rozhukanym, niepowstrzymanym pędem szturmu na bagnety, by w porywającem, nieodpartem, gwałtownem jak nagła burza, ścinającem krew w żyłach „hurra" — przedrzeć się jak ognista, barwna raca burzliwem wołaniem: bier... za głowę!.,.

Krok w krok sunący za piechurem śmiech-towarzysz, włóczy się za nim jak cień — w bitwie, w marszu, na biwaku, w ofensywie czy odwrocie...

Czy w upalne, żaru pełne, skwarne czerwcowe dni, czy w osmętniałe, mgliste, sine wieczory jesienne, czy w świszczące wichrem, mroźne, gwiezdne noce grudniowe czy w wiosenne, świeżym, upojnym powiewem tchnące. radosne południa — zawsze przewija się przez kolumnę w marszu śmiech-druh, śmiech-pocieszyciel wierny żołnierza nieodłączny towarzysz...

Rozwinęła się po zbiórce w bagnistej, ciasnej uliczce Miednik kolumna bataljonu i z radosnym gwarem, jak na wyraju wiosennym ptaki, dźwignęła się z chrzęstem rynsztunków, z dyrekcją na wschód daleki, we mgłach porannych spowity—z weselem w sercu, z pieśnią na ustach.

Skrzypnęły wozy długich białemi płachtami znaczonych taborów, ściągnęły się wysiłkiem zgięte końskie karki, przeleciał długi, donośny krzyk komendy na marsz—i kolumna wparła się w mokry, ciężki piach...

Maszerujemy na Szumsk. Droga prześliczna. Krajobrazy zmieniają się co chwila, coraz to nowe zachwycone budząc spojrzenia. To napełniamy śpiewem i gwarem marszu przepyszne, młodą, świeżą zielenią okryte olszynowe gaje, to przewijamy się krętemi wężowiskami po piaszczystych wąskich drogach, przebitych w śmigłych, wysokich sośniakach boru, to wznosimy się na strome nagłe wzgórza, skąd dalekie wokół sine pasma głębokich borów ciemnieją, ponad przeczyste jasne oczy jezior litewskich, zanurzamy się w głuchy, nieznany żołnierzowi kraj...

Na wschód...



Kilometry mijają, — śpieszymy mocno, gdyż dzisiaj mamy jeszcze dojść do Słobódki, a więc zrobić dobre trzydzieści kilometrów.

Na czele bataljonu w polowych mundurach, z odznakami tak dokładnie jodyną pociemnionemi, że zaledwie na kilkanaście kroków można je rozpoznać, maszerują grupką oficerowie, rozpowiadając o tej wojnie bolszewickiej, której pierwszą próbę mieliśmy pod Żakieńcami i Michałówką.

W pogwarce, w opowiadaniach razporaz rzucanych, przewijają się wspomnienia dawnej starej legjonowej wojny.

Inaczej się to wówczas wojowało. Dawniej, w 15 czy 16 roku, w ofensywie, czy zaś w jakim odwrocie — nie tak wyglądał wojny szlak. Gdziekolwiek się rzuciło okiem, zewsząd, po wszystkich drogach, ścieżkach i bitych traktach sunęły długie, nieskończonej zda się długości kolumny wojsk, okrytych, gdyby wapienną skorupą, białym kieleckim czy lubelskim, pyłem, lub unurzane, utytłane po kolana w poleskich bagnach i bajorach ciągnęły milowe kolumny, siejąc po drodze, co kilka km. najróżnorodniejszemi tyłowemi urządzeniami i etapami.

Teraz — dość z konia się obejrzeć—by na szerokiem polu całą kolumnę objąć wzrokiem, dość zejść piechurowi na chwilę do rowu, by później trza gonić kolumnę, bez możności dopytania się kogokolwiek, dokądże wojsko poszło... Nikt poza nami nie zostaje, gdzieś oddalone huki armatnie świadczą, że gdzieś, ktoś się bije.

To też nie nawykli do takiej wojny, pocieszamy się wiadomościami, jakie nam Bortnowski rzuca o bolszewickich siłach. Całe szczęście, że mamy ich naprzeciwko również niewiele, również i oni markotnie się czują. Pobije więc ten—kto się mniej na łączności ogląda i rzadziej liczy karabiny...

Na przecięciu traktu Smorgońskiego z torem kolejowym — stanęliśmy na krótki odpoczynek. Kompanje rozłożyły się po bokach leśnej drogi. Żołnierze sięgają do chlebaków i manierek.

Wysoki sosnowy bór, biały, sypki na drodze piach, ostry, równy wyrąb lasu, jak jasne okno w ciemnej ścianie boru, i biegnąca w dal linja kolejowa stalowym błyskiem szyn.

Na rozstaju dróg odprawa. Pod pochyloną, rozłożystą pobrzeżną sosną, otoczona ciasnem kołem oficerów, wysmu-

kła postać Bortnowskiego. Pochylone nad mapami głowy i skupione posuwanie palcami.

Przed chwilą w kurzawie pyłu, na zgrzanych koniach wpadli w ostrym kłusie na biały, piaszczysty szmat leśnego wyrębu ułani i zdali meldunki.

Coś, gdzieś się kroi — są wiadomości, — więc dwie kompanje wysuną się zaraz naprzód, jako straż przednia.

Wracamy z odprawy do oddziałów. Przeczekamy z pół godzinki, aż tamte dwie kompanje wysuną się na odpowiednią odległość, i pomaszerujemy dalej.

Z głębi lasu wysuwa się za chwilę czoło kolumny. To bataljon 3-go p. legjonów łączy z nami, by razem pomaszerować na Soły.

Po pół-godzinie w galopie wpada ułan. Wręcza meldunek. Po krótkiej chwili — marsz.

Do Słobódki jeszcze daleko. Jeżeli gdzieś bolszewicy nie zataili się i nie przygotowali jakiej strzelaniny, któraby nam mogła trochę czasu zająć, — prawdopodobnie będziemy tam jeszcze dzisiaj kwaterowali, gdy naturalnie wszystko się pomyślnie złoży.

Koło południa wyszliśmy z lasów i maszerujemy białym traktem.

Zerwał się ostry, zimny wiatr i sypie, tnie nam w oczy paskudną kurzawą. Maszerujemy jednak bez wytchnienia i szybciej jeszcze posuwać byśmy się mogli, gdyby nie tabory. Nie można ich samych zostawiać, bo z tyłu za nami żywej duszy niema, — a tu konie, gdy wypadnie pod górę pociągnąć, wpierają nogi po kostki w piach, rozpaczliwie się wysilają i ledwo, ledwo z użyciem pomocy piechoty mogą się podźwignąć.

Wozy ciężkie, przygniecione ciężarem prowiantu, którego na kilka dni trzeba było wziąć.

O podwody niesłychanie trudno. Z każdym kilometrem zbliżamy się do dawnej linji frontu rosyjsko-niemieckiego i oglądamy już tutaj ślady niszczycielskiej gospodarki niemieckiej, która nie oszczędziła tych nawet wsi, koło których przechodzimy, chociaż do smorgońskiej linji starego frontu mamy jeszcze dobre ze czterdzieści kilometrów.

W pewnej chwili kolumna stanęła. Bez widocznej przyczyny raptem zatrzymaliśmy się i z przodu nie nadchodzi żaden głos, donoszący o spoczynku, czy też przyczynie wstrzymania marszu.



Wysuwamy się w kilku naprzód na czoło bataljonu i stajemy wobec pierwszej przeszkody, jaką nam bolszewicy na drodze naszego marszu urządzili.

Niewielki, olszynowy gaik. Skisła, zielona woda, pełna zapewne w cichy wieczór żabiego chóru. Maleńka usypana grobla i 3-metrowej szerokości zwyczajny z dylów złożony most. Wprawni saperzy w piętnaście minut ścięliby kilkadziesiąt olch i most by sporządzili.

Most ten leży teraz w wodzie. Porozdzierane osękami białe, zsunięte w wodę, rozłupane poszczególne dyle, rzucone daleko w zieloną, stęchłą toń wiązadła.

Przeszkoda. Piechota przebrnie, choćby po pachy miała się w wodzie pogrążyć — lecz ciężkie, wyładowane prowiantem wozy i półbaterja polówek, która przed chwilą z baonem 3-go pułku dołączyła się, nijak nie przejadą. Nie dadzą rady. Nie objadą też olszynek—bo jakieś tam załapane ciągną się łąki i bajory.

Gdyśmy dochodzili do mostku, wrzała tam już gorączkowa praca. Żołnierze czołowej kompanji z toporkami zajadle rzucili się na smukłe olszynki, inni rozbiegli się do pobliskiego toru, by porozdzierać budkę strażniczą i szyny rozjazdu.

Nad mostkiem stoi przedziwnie rozkraczony Bortnowski. Sam odbiera wilgotne, obłocone olszynowe pnie i ciska je na resztki, pozostałe po moście. Inni oficerowie chwytają podawane im przez żołnierzy łopatki i zdzierają niemi darń.

W kilka minut przy mostku zebrał się cały korpus oficerski. Żołnierze śpiesznie znoszą wszelkiego rodzaju trwałe przedmioty i ciskają je na mostek. Tu kilkanaście oficerskich rąk układa je, osypuje, przyklepuje...

W niecałe pół godziny mostek był gotów. Kompanje przemaszerowały, udeptując zniesioną darń i po chwili wjechały głęboko w czarną, narzucaną ziemię koła pierwszego wozu.

Most ani drgnął...

Pod wieczór doszliśmy do Słobódki. Bolszewików tu ani śladu. Chłopi, którzy nas z żywą, prawdziwą radością powitali, twierdzą z pewnością, że nie oparli się „krasnoarmiejcy“, aż o Soły, a poniektóry przypuszcza nawet, że może i wprost do Smorgoń, do starych okopów uciekli...

W Słobódce, dużej polskiej wsi, stoją obydwa bataljony i półbaterja polówek. Stąd mamy nawiązać łączność

z oszmiańską grupą, gdyż pono wczorajszego dnia zajęto Oszmianę.

... Oszmiański starosta, Kmicic — nawet na owe zanarchizowane czasy w Polsce, „bolszewicki“ — staje mi przed oczyma. Stąd, z tych tutaj stron wywodziła się jego banda zabijaków „par exellence“ bolszewicka, — choć bez socjalistycznych i komunistycznych ideałów...

Przy wejściu do Słobódki, tak typowo, po tutejszemu w dwa ciasne rzędy wzdłuż wiejskiej uliczki zbudowanej — otrzymujemy rozkaz dalszego marszu. Klnąc, na czem świat stoi, dowiadujemy się, że z kompanją mamy odmaszerować do wsi Tołłociszek, o 5 klm. na południe, jako ubezpieczenie grupy.

Wiatr ustał. W powietrzu cisza zupełna; chmury gdzieś wywędrowały za dziesiąte morze — niebo pokrywa się czerwienią zachodu. Wypłynął, niewiadomo skąd, na falach letniego powietrza ciepły wietrzyk i przyniósł nam zapachy niekoszonych łąk...

Przecinamy tor i maszerujemy na owe paskudne Tołłociszki. Wyrywam się konno naprzód z patrolem przednim, szukając pilnie niewielkiej polowej drogi na mapie, by jej w terenie nie zgubić.

Mijamy po drodze jakowąś wioszczynę. Chłopi, młodzi i starzy, wybiegają ku nam tak nadzwyczajnie uradowani, jakgdyby na spotkanie szczęścia ku nam szli. Z niekłamaną radością, z błyskiem rozradowanych serdecznie oczu, z najżyczliwszą z serca troskliwością rozpowiadają nam o bolszewikach, typowo, z rosyjska akcentując końcowe zgłoski.

— Oj, nacierpieli się, panowie, nacierpieli... ta śpiewna nuta polskiej skargi płynie im z ust, mimo radości powitania.

Po godzinie marszu zajmujemy na kwatery, rzuconą na piaszczystą wydmę niewielką wieś Tołłociszki. I tu Polacy.

Z pewnego rodzaju zdumieniem oglądamy tych dalekich od nas, od rdzennej Polski rodaków, my, królewiacy, dla których przeważnie pojęcie polskości kończyło się na wysokich brzegach Bugu. Jak w latach legjonowej wojny widzieliśmy i spotykaliśmy polskość na szlakach naszych wołyńskich marszów — tak z większem jeszcze zdumieniem odnajdujemy tutaj tę naszą Polskę, ściszoną, utajoną na tych litewsko-białoruskich przestrzeniach, tak niesłychanie gnębioną, duszoną przez tyle dziesiątków lat...



Jednak pozostała ona, trwa ciągle, niezmiennie, wojująca uparta, nieprzeżarta przez wpływy i potęgę Wschodu- ciągle ku dalekiej Polsce, ku zachodowi tęskno wyciągająca ramiona...

Mówią tu oni po swojemu, po „prostemu“. Język to ni polski, ni ruski. a już w żadnym razie nie rosyjski. Lecz w każdym domu polski elementarz, polska książka do nabożeństwa, polskie starannie przed obcym, przed wrogiem ukrywane czytanki. Język polski, mowa—jest tą odświętną godową szatą, którą nie na codzień się nosi.

W izbach — dość brudnych zresztą — wszędzie ślad germanizmu, pochodu wielkich niemieckich armij. Pozostanie on tutaj dość długo, choćby w dziesiątkach pocztówek niemieckich, wycinków, malowideł z najrozmaitszych tygodników berlińskich, w porozwieszanych fotografjach różnych ryf „kulturträgerów“ i lejtnancików z monoklem w oku. Pozostanie ślad i na dziesiątkach cmentarzy, na wzgórzach, ubranych krzyżami, na leśnych polach, w cichych głuszach boru, gdzie bielą się krzyże brzozowe i widnieją napisy: Hier liegen...

Zostały ślady nawet w piosenkach. Dwuletni pobyt Niemców i to po sobie zostawił. To też zdziwiliśmy się niezmiernie, gdy po odśpiewaniu nam różnych tajonych do tej pory pieśni polskich, po nucie Niemna, usłyszeliśmy nagle śpiewaną przez córki naszych gospodarzy, jakąś piosnkę z operetki niemieckiej...

Przy odmaszerowaniu ze Słobódki zapewnił nas Bortnowski, że przez jutrzejszy dzień prawdopodobnie będziemy stali jeszcze na miejscu, zanim się ogólna sytuacja wyjaśni. Nie bardzo temu wierzymy — lecz że wszystko na wojnie możliwe, przeto i jutrzejszy postój jest prawdopodobny. Zależy nam bardzo nawet na tem, gdyż po bitwie, po pierwszym ogniu naszych rekrutów, nie mieliśmy chwilki spokoju, aby przed frontem kompanji objaśnić całą tę bitwę, wytłomaczyć, co i jak się robiło, jak się oni sprawowali, a jak się zachować powinni — słowem, bitwę, która w ich świadomości trwa, jako jeden ogromny huragan huku, trzasku, świstu kul, krzyku komendy, biegania i padania — tę kombinację ruchu i ognia jakiej się poddawali bez najmniejszego zrozumienia akcji z ich strony, ująć w proste schematy myśli, założeń i wykonania. Po takiem objaśnieniu, odpowiednio dowcipami z humorem przeplata-

nemi — rekruci zrozumieją, pojmą treść rzeczy. Pozatem odpoczynek jest potrzebny, by objaśnić jeszcze chłopaków nieco o tej ziemi, którą maszerujemy, i o stosunkach tutejszych, no i wreszcie zrobić porządek z kancelarją...

Oj, ta kancelarja!...

Jedzie na wozie skrzynka szpargałów, papierów, rapottów najrozmaitszych, pięcio i siedmiodniowych, porannych i południowych, broni i koni, — a tu już od kilku dni, od tygodnia prawie jesteśmy w drodze, i ani rusz się wziąć do porządkowania. Odpoczynek choć jednodniowy przyda się nam wspaniale.

Pośrodku wsi, którą zajęliśmy, wąska uliczka, ciasno zabudowana chałupami, rozbiega się w dość szeroki plac z niewielką sadzawką pośrodku.

Wczesnym rankiem, przeraźliwie chłodnym, mimo iż to 6 maja, zebrały się na placu, porosłym krótką, objedzoną przez bydło trawką wszystkie plutony i tłuką ćwiczenia.

Po przerobieniu chwytów bronią — nauka o wedetach, placówkach, o zatrzymywaniu, z nałogu starego zwanym „haltowaniu".

Trzytygodniowe ćwiczenia w Ostrowiu nie pozwoliły nam dać wszystkich tych wiadomości rekrutom, jakie żołnierz w polu powinien doskonale znać, to też edukacja musi odbywać się dalej podczas postoju w marszach, w przerwach między jedną a drugą bitwą.

Gdzieś pod stodołą sierżant Maniuś daje „szkołę" pierwszemu plutonowi — w innym końcu sadzawki Grzyb piłuje swych chłopców, trzeci pluton obkuwa Witold,ja zaś z Tadkiem obchodzimy we dwójkę wszystkie cztery plutony (bo i maszynki się wywlekły) i cieszymy się...

Cieszymy się, bo już bądź co bądź nie z tak okrutnie zamazanym rekrutem mamy do czynienia, radujemy się z tych wyników, jakie otrzymaliśmy mimo tak niebywałego krótkiego czasu ćwiczenia rekruta w kadrze, rośnie nam serce, gdy spoglądamy na równe linje plutonów w takt, jak jeden, trzaskające bronią przy chwytach, i porównywujemy do rekruta niemieckiego, który przed 6-tygodniowem ćwiczeniem w kadrze w pole nie ruszał...

Klnie się naogół ciągle. Klnie się porządki bataljonowe, pułkowe, brygadowe, dywizyjne, „psioczy" się porządki w całej armji, na ciągły bałagan i t. d. Byle rozkaz nie w porę, alarm, gdy człek siedzi przy pokierze, rozkaz za



późno przychodzący, fasunek machorki miast papierosów, słowem, klnie się ciągle, bez przestanku, na wszystko i stale.

Jednak, gdy tak spokojny jakiś dzień wypadnie — ot choćby, jak dzisiaj w Tołłociszkach — bo to, uważasz, człek zawsze jest trochę romantykiem, wodzi oczyma po plutonach i gadu-gadu, rozpowiada o różnych i wielu innych naszych sprawach — inaczej się jakoś pogodnie i radośniej układają myśli.

Więc i rzetelne uznanie znajdzie się dla prowiantury, która na czas podniesie prowiant i to prowiant „pirwsza klasa", nie taki, jakiśmy „fasowali" w dawnych czasach. I chleb biały jest i konserwy i mięso i ryż — wszystkiego dużo i dobrze. Więc, gdy sobie to na „spokojnego" uświadomimy oprócz radości ogarnia nas i zdziwienie. Nie tegośmy się spodziewali przy powstaniu Polski. Głodowania, biedowania bez mundurów, fasunków i żołdu, przysłowiowej bryndzy żołnierza polskiego spodziewaliśmy się, nastrajaliśmy duszę i serca na podniosły stan „poświęcenia bez granic" — a tu, psiakrew, okazja całkiem mija, obywa się bez poświęceń...

Bo jakoś ten cały ogromny aparat zaopatrzenia armji funkcjonuje i to funkcjonuje dobrze. Najlepszy dowód: funkcjonowanie aparatu organizacyjnego armji odbija się przedewszystkiem na żołnierzu w polu, na bataljonach i kompanjach. No — i przyznać trzeba — niewiadomo, na czyją zasługę, jakich Thornów czy innych Litwinowiczów — dość, że wszystkiego jest dużo i na czas.

Przezwyciężając więc niechęć, jaką ma każdy linjowiec do różnych intendenckich brzuchaczy i prowiantur, niechęć, zapuszczoną i zardzewiałą w duszach ze starych czasów, suszonych ryb i kukurydzianych bochenków chleba—w pogwarce i w zwierzeniach myśli i uczuć, zgadza się człek, że dobrze jest, bo mogło być gorzej...

A plutony „furt" ćwiczą. Teraz na komendę, chórem powtarzają sygnał zatrzymywania: stój—kto idzie?... podejdź na hasło etc.

Chóralne, rytmiczne wołania odbijają się o chałupy — i wsiąkają gdzieś w płaską ciszę pól...

— A zatrzymywać trzeba morowo, spokojnie, samemu się nie peszyć, a podchodzącego zahaltować tak, żeby miał dość na długo — ciągnie przed plutonem któryś z podcho-

rążych czy sierżantów, i prawi przed rozdziawioną linją gęb, jak to on kiedyś zatrzymał i speszył nad Nidą kapitana Młota.

— Stoję se na wedecie. Noc jasna, niskie, mokre brzegi Nidy. Aż tu, widzę, telepie się między drutami jakiś gość. Klękam se nisko, by go na tle nieba obejrzeć i widzę, że wali kapitan Młot. Przykucnąłem jeszcze niżej a potem, podpuściwszy bliżej, nagle się zrywam i trzask bezpiecznikiem: stój — kto idzie? hasło?... — To ci jak kapitan stanął, przez dobrą minutę myślał, jakie to hasło, jakie to hasło, tak się speszył. A wreszcie gdy sobie przypomniał, podszedł do mnie i mówi: macie tu obywatelu paczkę egipskich, boście mnie morowo speszyli...

— A morus chłop był, jak cholera, z tych najpierwszych w brygadzie, co nie łatwo się peszą. I uśmiechnąwszy się rzewnie na wspomnienie tych egipskich (Rany Boskie — egipskie...) ciągnął dalej:

— To też rekruty zamazane, pierońskie ćwoki, musicie umieć haltować jak należy, byście wreszcie do żołnierzy podobni się stali.

Pamiętać więc: porządnie, morowo zatrzymywać, tak żeby gościa speszyć. A nie otwierać bezpiecznika tylko na postrach celownikiem trzaśnij — boś taki żołnierz, że jak celownik odemkniesz, wygarniesz w brzuch łącznikowi, albo oficerowi inspekcyjnemu i będziesz się później tłómaczył, że ci się „kurcoba urwała", ofermo sakramencka...

Po dwuch godzinach ćwiczenia były skończone, plutony wróciły na swe kwatery.

Chłopcy wiedzą, że jeszcze nie jedna ich bitwa czeka, to też ćwiczą teraz z wielkiem przejęciem. Słuchają objaśnień, rozumiejąc z każdym dniem coraz bardziej potrzebę wyszkolenia. A już najbardziej są przekonani do szybkiego poruszania się w ogniu, wiedzą, że najlepiej uchronić się od strat przez szybko przeprowadzoną bitwę, którą gnać trzeba, gnać w tyraljerze, jak najprędzej przemierzyć przestrzeń, dzielącą od nieprzyjaciela.

I, śpiewając swą piosnkę w marszu: bolszewika goń!... rozumieją jej treść, w gruchocie karabinowego ognia, uwydatniającą się w całej pełni.

Na dworze ciągły chłód. Od czasu do czasu przemknie się przez pola jakiś niezdecydowany słoneczny promień



i niknie gdzieś za lasami — w górze przeciągają ciężkie nawałnice nowych chmur.

Wybieram się do Słobódki po nowiny i ploteczki, których tak zawsze w polu łakniemy, pozatem niebardzo wierzę, żeby dzisiejszy dzień przeszedł w spokoju.

Tłukąc się na zdobytej pod Żakieńcami jakiejś bolszewickiej, ongi kozackiej zapewne szkapie, znalazłem się po pół godzinie w Słobódce, gdzie, o zgrozo, skonstatowałem zaledwie ślady po „słodkiej ze Lwowa", która wreszcie dojechała do bataljonu.

W słodkich zaiste humorkach bawił się korpus oficerski na ganku.

Kwaterowały tu ongi w Słobódce jakoweś oddziały, komendy, sztaby niemieckie i wszystkie nieomal chałupki wsi poprzybierały w najrozmaitszego rodzaju daszki, altanki, stołki, ławki i ganki z białych pni brzozowych, z wiotkich, lekkich brzezinek.

Na jednym z tych ganków siedziała kołem wiara i zaśmiewając się, obserwowała próby dosiadania klaczy Bortnowskiego, prześlicznej „Heli", przez coraz to innego amatora. Próba się zwykle kończyła mniej lub więcej zgrabnie wykonanym „salto-mortale", jakie po kolei delikwenci produkowali z grzbietu rozbrykanej klaczy na twarde klepisko podwórka, lub co gorsza, na niezbyt nęcącą gnojówkę.

Dowiadujemy się z punktu, że dzisiaj pod wieczór lub może później nieco, wymarsz. Jutro rano prawdopodobnie zaatakujemy Soły. Siadam wobec tego na konia i jadę z powrotem do Tołłociszek.

W pół godziny po moim przyjeździe wpadł ordynans konny grupy z pisemnym rozkazem: o 1 w nocy wymarsz.

Zmrok już zapadał, wieczór zapowiadał się cichy i ciepły, powoli zapadała noc. Po wydaniu dyspozycji plutonom, taborowi, kuchni — kładziemy się pokotem na rozłożonej w izbie słomie.

Późną nocą zerwaliśmy się na równe nogi. Ktoś wrzeszczał, obijając się o drzwi i za chwilę buchnął snop światła latarki. Przez drzwi wpadli Bortnowski, Staub i adjutant baonowy.

— Zebrać kompanję, zaraz tu Liwacz ze swoją przymaszeruje. Za pół godziny odmarsz!

— Rozkazl

Młodkowski pchnął sierżanta, a tymczasem tamci trzej, każdy gdziebądź, władowali się na ławy, łóżka i podłogi i po chwili chrapali jak pozarzynani.

Po pół godzinie, przewracając się i potykając przez porozkładanych w izbie, klnąc straszliwie, ładuje się do środka Liwacz, świecąc zapałkami. Otwieram rozespane oczy.

— Kto się tam, u djabła tłucze? — mamroczę z wściekłością.

— Tu Kazek... Gdzie kapitan?...

— Aha, ty! To trzeba już pewnie wstawać?

— Pewnie, już dzień zaraz. Gdzie kapitan?

— Śpi na łóżku — powiadam, wskazując jakąś kupę pierzyn i poduszek, na której w płaszczu, w butach opasany teczkami, latarkami i brauningami, leży Bortnowski.

Liwacz, jeszcze raz zakląwszy, gdy się potknął o jakąś wystawioną zdradziecko nogę, stanął wreszcie przed kapitanem, świecąc podaną tymczasem przez sierżanta lampką.

— Panie kapitanie, melduję, kompanja przymaszerowała!...

Gadaj zdrów — myślę sobie, — możesz tak do sądnego dnia z równem powodzeniem kapitana budzić. I zdzierając koce ze śpiących, wrzeszczę: Auf!... Wstawać!... Kawa!...

Koce się odrazu podniosły.

— Jazda! wstawać! odmarsz!

Kapitan naturalnie również się obudził; nawet sypiący przekleństwami adjutant, który klnie bez żadnej okazji, zawsze, wszędzie i o każdej porze dnia i nocy, zabrał już swe sztylpy z jakiejś okropnie twardej ławki, i klnąc, przeciągał ramiona.

Jeszcze jeden wszask, „kawa...“ i za chwilę izba opustoszała.

Wychodzimy na dwór. Noc jasna, gwiaździsta, zalana srebrną księżycową poświatą. Na podwórku zaprzężone już do kuchni polowej konie; za płotem, w jakimś ogrodzie, skrzypią wozy taboru.

Wzdłuż wąskiej uliczki rozłożone obydwie kompanje. W nikłem, miesięcznem świetle dziwnie groźnie wygląda ta powalona masa ludzi, z której ogromna większość, wyzyskując wolną chwilę, już śpi... Zbieramy się wokół kapitana.

— Atakujemy rano Soły zaczyna kapitan: — Kompanja 9 i 11 i pół kompanji kar. maszynowych ze mną, kompanja 12 i 3 1-go pułku, która do nas dołączyła, z Chilewskim, maszerującym na Soły wzdłuż toru kolejowego. Maszerujemy na Żuprany, gdzie stoi szwadron 11 pułku ułanów. Tam dostaniecie szczegółowe dyspozycje. Kompanja 9 na czoło, k. m. w środek,, 11 na tyły. Służbowa 9 — ubezpiecza. Marsz bojowy!...



Krótko, wydawszy te dyspozycje, siadł Bortnowski na konia. Za chwilę kompanje już stały gotowe w kolumnie marszowej.

Kilka minut upłynęło i na cztery strony, wprzód, na boki i na tył odłączyły się ubezpieczenia i zanurzyły się w poranną mgłę, która, podnosząc się zwolna z łąk i oparzelisk, przesycała powietrze surową wilgocią.

Gwiazdy bladły. Księżycowe światło coraz bardziej zlewać się poczęło z sinym tonem poranku, — przeciągnął rześki, chłodny wiatr.

Maszerujemy! Patrole wzięły już odpowiednią odległość. Zimno trzęsie, jak febra, to też gnamy coraz szybciej.

Chłopcy co chwila pokazują na zamarzniętą wodę w rowach i oszroniałą, twardą, zmarzniętą, grudę.

Ot maj, maj litewski!...

Maszerowaliśmy dobre dwie godziny do Żupran. Gdyśmy dochodzili do małej osady z wysoką czerwoną wieżą kościelną, błysnęły tam nagle krwawym ogniem pierwszych promieni słonecznych zalane szyby okienne i zamigotał w słońcu krzyż.

Wielka tarcza krwawego, wstającego słońca przebijała się przez drzewa wiejskich sadów.

Na wstępie pod jakąś stodołą napotkaliśmy wedetę ułańską i tuż zaraz na rynku stojący tabor. To wysunięty naprzód szwadron 11 pułku zajmuje Żuprany od przedwczoraj.

Małe miasteczko Żuprany, na mapie niemieckiej oznaczone jako „Schuprany", a prawdopodobnie Żubrany — przedstawia oryginalny widok. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, jak gdyby to była jakaś osada fabryczna, jakieś centrum przemysłowe. Wrażenie to wywołuje niezliczona ilość słupów telegraficznych, wież, kabli, na wszystkie strony rozchodzących się setek linij, drutów i połączeń.

Każda nieomal chałupa opatrzona białemi, porcelanowemi kablami; ze wszystkich sron sterczą większe lub mniejsze wieże.

Wszystko to ślady pobliskiego frontu niemieckiego, którego nerw zbiegał się tutaj w ogromnych centralach telegraficznych i zakładach elektrycznych, pędzonych turbinami, rzuconemi na łagodne fale szerokiej, krętej Oszmianki.

Bataljon staje na rynku obok dymiącej kuchni ułańskiej, zaś kapitan szuka dowódcy szwadronu.

Za chwilę wchodzimy do jakiejś dość czystej żydowskiej izby, gdzie, ku najwyższej radości, ujrzeliśmy syczący rozkosznie na stole samowar. Zziębnięci, skostniali, mimo że już słońce dość wysoko stało na niebie, rzuciliśmy się na gorącą herbatę i, parząc sobie wargi, słuchamy dyspozycji Bortnowskiego.

Pluton ułanów ma ruszyć gdzieś mocno na wschód, w okolice Smorgoń, i tam postarać się przeciąć tor kolejowy, aby nie mogła uciec pancerka bolszewicka, która jest napewno w Sołach, jak nas poinformowali chłopi. Drugi pluton ma ochraniać prawe skrzydło, a więc kompanję 9-tą.

Główny atak przypuszcza od zachodu I baon 3 p. p. i Chilewski z półbataljonem, atakującym na Podbłocie. 9-ta kompanja ma uderzyć na Recznjany, Usipany, Kropiwno i od tyłu wpaść do Sół, ewentualnie, gdyby się dało i zdążyło zrujnować również tor, aby bolszewickiego „broniewika" zafasować.

11-ta kompanja maszeruje w rezerwie.

Rozgrzawszy się jako-tako gorącą herbatą — wracamy na rynek.

Zbiórka.

Kapitan maszeruje z kompanją 11-tą za nami, do niego posyłać należy wszystkie meldunki przez konnych łączników, których nam kilku przydzielają z 11 pułku.

Za chwilę maszerujemy.

Podoficerowie, dowcipkując, starają się z jak największym humorem pójść w ogień, — ale i rekruci już nie z tak wielką tremą i niepewnością maszerują, jak na pierwszą Żakieniecką „potrzebę". W niejedym z nich już się zaczyna wyrabiać ten legunowy, beztroski nastrój, któremu jest wszysko jedno, gdy tylko poczuje nosem, że „coś" będzie, gdy wie, że idzie w ogień.



Niejednemu już z oczu patrzy śmiałe powiedzenie: jak mię ma trafić, to i tak frafi, choćbym się nie wiem jak bał i „dekował"...

Naogół idą o wiele spokojniej i humor, z jakim się produkują, nie jest już tak wymuszony, jak przed pierwszą bitwą.

— A pamiętajcie, chłopaki, bez rozkazu nie padać — klarują swoim plutonom oficerowie. — Jak będzie komenda „biegiem marsz", to gnać i gnać bez wytchnienia, a wówczas najmniej strat będzie...

Za chwilę wychodzimy z miasteczka i, przeszedłszy przez most z porozwalanemi, ogromnemi kołami i trybami turbin, wznosimy się na lekkie wzgórze.

Kompanja zostaje w dole, wśród niskich krzaków jałowca, my zaś w kilku wysuwamy się na wzgórze.

Szeroki, rozległy widok. Pola i lasy pogrążone jeszcze w śniadej, porannej mgle, lecz poszczególne wsie, wyłaniające się w mglistych zarysach, oraz całą, szeroką dolinę Oszmianki, miasteczko i stację Soły — wszystko to widać, jak na dłoni.

Cisza jeszcze wokół zupełna; widocznie bolszewicy nie spodziewają się niczego.

Na stacji widać dokładnie ruch. Białe dymki z dwóch parowozów pykają regularnie; świetnie widać manewrowanie długiego pociągu.

Jest godzina 8 rano. Dzień prześliczny, nadzwyczajnie pogodny. Cała szeroka dolina, równa, płaska, którą mamy przed sobą, przesyconą jest blaskiem słonecznym i lekką, świeżą, śniadą mgiełką poranną, zwiastującą upalny, gorący dzień.

W pewnej chwili gdzieś z lewa odezwało się kilka pojedyńczych strzałów i zaraz za niemi poleciało jedyne donośne szczeknięcie naszej półbaterji polówek.

Białe dymki z parowozów bolszewickich natychmiast znikły i za chwilę gdzieś tam, w pobliżu dworca, słup dymu i ziemi wystrzelił w górę.

To granaty polówek szukały pancerki.

Za moment od strony Podbołocia z dużego szmatu lasu ujrzeliśmy jak na dłoni rozwijacące się tyraljery bolszewickie. Gęsty ogień rwał stamtąd i od czasu do czasu dochodził do nas jękliwemi poświstami dalekich — ledwo lecących kul.

Zaczynamy przesuwać kompanję ku Recznjanom. Grupkami, pochyleni, przypłaszczeni prawie ku ziemi, przelatują przez wzgórze żołnierze, by niepostrzeżenie dostać się do niewielkich zarośli, a stamtąd do Recznjan.

Udaje się nam to z powodzeniem, gdyż cała uwaga bolszewików zwrócona została na las za Podbołociem, skąd już dochodzi regularny grzechot jednostajnie rwący, przytłumiony naszych maszynek i ostre stukotanie rosyjskich „pulomiotów".

Po pół-godzinie wraca zdyszany łącznik z Recznjan z wiadomością od patrolu przedniego, że wieś wolna.

Ruszamy.

Po dojściu do wsi natychmiast ją ubezpieczamy. Plutony porozkładały się w uliczce wiejskiej; ubezpieczenia mają najsurowszy rozkaz nie przepuszczać nikogo do bolszewików.

Zdaje się, że do tej pory nas nie zauważono.

Wychodzę z Młodkowskim na brzeg wsi. Chłopi, Polacy, objaśniają nas, gdzie bolszewicy przez całą ostatnią noc budowali okopy i gdzie prawdopodobnie siedzą.

Na lewo od wsi wznosi się lekki wzgórek, w którego stronę od pierwszych prawie chałup prowadzą jakieś stare niemieckie okopy.

Pochyleni, dostajemy się na to wzgórze i stąd, niewidoczni, ukryci w okopach, mamy doskonały widok. Okopy zupełnie dobre — obstrzał na całe Soły, na niedalekie, porozrzucane w dole baraki — przepyszny.

Przyczajony, skulony w okopie chłop objaśnia dokładnie, gdzie są bolszewicy rozłożeni.

W oczach jego tai się zwierzęca, dzika, nienawistna radość...

Słowa zduszone wyrzuca z piersi niby najstraszliwsze przekleństwa...

Przed nami poniżej długa wieś Szczepany. Na lewo od niej, wprost do Sół wiodący prześliczny trakt, wysadzony staremi brzozami. Za wsią lekka, zwiewna mgła zieleni jakichś niewielkich olszynek.

Tam, od wsi Podbołocia, ukrytej za rzeczką w jasnych smugach olszynek, aż po tor kolejowy ciągną się okopy bolszewickie. Widać je dokładnie, jak wiją się czarną brózdą świeżo skopanej, wilgotnej ziemi, jak giną gdzieś w szarych jeszcze tarninach.



Oglądamy przez szkła pole, na którem za chwilę rozniesie się gwałtownym ogniem bitwa. Orjentujemy się jednak, że trzeba będzie zaraz uderzyć, gdyż Chilewski tak zachodzi im z lasu na Podbołocie ze skrzydła, że będą musieli stąd bezwarunkowo wyrywać.

Za chwilę podkrada się do okopu Bortnowski ze Staubem, i wspólnie oglądamy pole.

Tymczasem ogień u Chilewskiego coraz bardziej rośnie, coraz bardziej wzmaga na sile. Kombinujemy, że tam się coś kroi.

Rzeczywiście za chwilę Staub, który zawzięcie lornetował tamte okolice, zaczyna krzyczeć, że jakaś tyraljera wali z lasu na Podbołocie. Skoczyliśmy do niego w jakiś trawers i spoglądamy w dolinę Oszmianki. W tej samej chwili ogień raptem ustał. Natomiast z granatowej linji lasu najwyraźniej widać tyraljerę, nierówną zresztą, raczej szereg ciemnych punktów, posuwających się na Podbołocie.

Orjentujemy się, że to bolszewicy rozpoczęli odwrót na Soły, na samo już miasto.

— No, Wacek — zrywa się Bortnowski — zaczynać!...

Wracam biegiem do wsi.

Spodziewając się, że bolszewicy nas do tej pory jeszcze nie dostrzegli, zamierzamy zrazu podejść dość głębokim jarem pod same Szczepany, a stamtąd z punktu, z kopyta ruszyć na Usipany, Kropiwno, ku torowi kolejowemu i na tyły miasta.

W pewnej chwili, gdy pierwszy pluton począł się zanurzać w tarniny jaru, zatrzaskał naraz karabin maszynowy i kule z jękliwym, szybkim, ciągłym poświstem poczęły nam przelatywać nad głowami.

Stanęliśmy, jak wryci.

— Psiakrew, spostrzegli nas!... Szlakby ich trafił!...

— Ależ strasznie wysoko biją — mówi któryś z podoficerów i patrzy w górę, jakby lot kul przenosił o dobre kilka metrów nasze głowy.

Nagle jakiś żołnierz, obrócony bokiem ku nam, wskazując na w zgórze, którym posuwaliśmy się przed godziną, krzyczy: Ułani, ułani, panie poruczniku!...

Gwałtownie oglądamy się.

Szczytem nagiego wzgórza wzdłuż białej drogi gna w ostrym galopie pluton ułanów. Kurz wzbija się kłębami,

sznur plutonu na jasnem tle wzgórza przedstawia doskonały cel, to też dwie maszynki bolszewickie tłuką zajadle, zapamiętale...

Lecz ułani po kilkunastu sekundach już wpadli w las, skryli się za górę.

Na drodze nie widać żadnych śladów, prawdopodobnie bolszewicy, zgorączkowani tak ślicznym celem, za wysoko musieli brać, gdyż ani jeden ułan nie spadł z konia.

Mimo to klniemy wściekle, gdyż bolszewicy, raz zwróciwszy uwagę na tę stronę, albo zaraz zwieją, albo przygotują się do odparcia naszego ataku.

Tymczasem Bortnowski nagli: 'Maszerować, maszerować! Już powinniście uderzyć na Usipany!...

Kompanja ładuje się do zagłębienia. Ciągle mam nadzieję, że jednakowoż nas nie dostrzegli, gdyż otworzyliby już ogień.

Za moment wyłania się pierwszy pluton i piorunem na tłustej, miękkiej czarnej roli rozwija się tyraljera.

Reszta kompanji z zapartym tchem czeka w jarze.

Mija kilkanaście sekund. Rozwinięty pluton ostro rwie na Szczepany a tymczasem, miast spodziewanego, alarmowego, nagłego ognia — cisza zupełna.

— Cóż u licha! Ani jednego strzału...

Delikatna mgiełka zarośli poza Szczepanami milczy, jak zaklęta.

Spokój. Słońce na karabinach i łopatkach gra. W ciszy upalnego dnia zaledwie szeleści trawą wiatr.

— Niemożliwie przecie, żeby mieli zamiar podpuścić ich pod bliski ogień! — niepokoi się któryś z nas.

— Ach, naturalnie! skądżeby nagle takimi morowcami się stali!...

— Chyba, że zwiali...

— Za chwilę triumfalny głos...

— Naturalnie, że zwiali. Patrzajcie, pierwszy pluton już wlazł do Szczepan.

— No, rżniemy naprzód! Tamci mają czekać w Szczepanach na całą kompanję!...

— Dyrekcja na Szczepany i Usipany! Pluton w miejscu w tyraljery!... — lecą za chwilę komendy subalternów.

Z chrzęstem rozbiegli się w linję żołnierze.

— Równać! Kierunek nawprost — maarsz...



Dźwignęła się z miejsca tyraljera. Równa, przepyszna linja dwóch ogromnych plutonów rozrzuciła się momentalnie po płaskiem, szarem polu.

Po kilkunastu minutach szybkiego gwałtownego kroku tyraljery — dopadamy do wsi. O kilkaset kroków, na lekkiem wzniesieniu, oddzielone od nas dawno niezoranem polem, wysoką, bujną trawą porośniętem, falującem w lekkim wietrze — zielenią się ogrody Usipan i bielą ściany porozrzucanych chałup. Za chwilę wpadamy do wsi.

— Dawać tu jakiego chłopa!...

Zerwało się pierwszych dwu z brzegu i za chwilę prowadzą starszego już gospodarza. Chłopu ani się śni skomleć i jęczeć ze strachu, jak to się zwykle zdarza w takich wypadkach. Spogląda spokojnie, bez cienia strachu. Polak.

— Ociec, gdzie tu byli bolszewicy? — pytam.

— A o tam, panowie, siedzieli, w tych o „rojstrach" zielonych, już musi pewnie uciekli.

— Uciekli, uciekli, tatusiu, — wtrąca się mała dziewczynka, która ni stąd ni zowąd znalazła się przy tatusinych kolanach.

— A ty, bąku, skąd wiesz?

— Ja z miasta, od Sół, panie, szłam — szczebioce ośmioletni może dzieciak. — Nie chcieli w Usipanach bolszewiki puścić. Mówią — do Polaków idiosz — i zatrzymali. A o teraz dopiero, jak stali panowie z pulomiotów strzelać, tak i won uciekli do miasta. Już ich tam ani jednego niema...

Wiarogodniejszych informacyj nie potrzebujemy. Za chwilę padają znów komendy:

— Powstań! W kierunku na Usipany — marsz!...

Zanurzamy się w szeleszczącą wysoką trawę i, pławiąc się w niej i w gorących promieniach słońca, — zbliżamy się coraz szybciej do usipańskiego wzgórza.

Czujne, natężone oczy, niby ostre loty kul wpadają pod każdy krzak, pod chałupę i płot każdy Usipan, czy nie czai się tam ukryta w trawie linja... Zaciętem, zimnem szybkiem, jak myśl, spojrzeniem wpijają się w łagodne fale sokiej, przepysznej trawy...

Lewe skrzydło tyraljery gna ciągle wzdłuż owego prześlicznego, wysadzanego białemi, płaczącemi brzozami traktu i zachowuje kierunek. Wedle mapy trakt ten zaprowadzi

nas wprost na Usipany, Kropiwno i na tor — skąd możemy się rozwinąć frontem do miasta i wpaść od tyłu.

Na lewo w Podbołociu umilkły już zupełnie strzały, — naokół panuje cisza gorącego południa...

Rozwiniętą szeroką tyraljerą maszerujemy coraz prędzej, coraz szybciej. Słońce już wzbiło się wysoko i grzeje silnie; na niebie ani jednej chmurki, — pogoda prześliczna. Gnamy coraz szybciej, aż nam pot zalewa oczy, słabną w szybkim marszu kolana...

Za chwilę wpadamy do Usipan. Kilkanaście domków, sady, ścieżki, świeże, przed chwilą opuszczone okopy, walające się łopatki, naboje świadczą, iż bolszewicy dopiero co, może przed kilku minutami, opuścili te stanowiska.

Zaczynamy rozumieć sytuację. Nieprzyjaciel z Podbołocia prawdopodobnie cofnął się do Sół, a nasze skrzydło, ujrzawszy kawalerję na wzgórzu, zabrało się również do miasta.

To, że nie napotykamy najmniejszego oporu, spowodowane jest tem, iż bolszewicy, cofając się, nie zostawili patrolu tylnego, i my, jednocześnie wyruszywszy ze Szczepan za nimi, w tym momencie, kiedy się oni zaczęli wycofywać, najprawdopodobniej zupełnie przez nich nie zostaliśmy spostrzeżeni.

To przekonanie dodaje nam jeszcze większego impetu. Tyraljera już nie maszeruje szybkim krokiem, ale biegnie.

Coraz to zrywają się niecierpliwe wołania dowódców plutonów: prędzej... prędzej... uciekną nam!...

Zadyszana, spocona, zgrzana tyraljera zwolniła nieco kroku, gdy za Usipanami napotkała lekkie wzgórze, z którego dokładnie już widać oddzielone małym laskiem Kropiwno, tor kolejowy i zabudowania stacyjne.

Powoli, z ostatecznym prawie wysiłkiem podnosimy się ku górze. Maszynki ledwie się wloką, obsługa pomordowana do cna dźwiganiem ciężkich karabinów maszynowych.

W pewnym momencie, gdy nagle na wzgórzu wyrosła nasza wydłużona, gęsta tyraljera — w powietrzu rozległ się jędrny, gromki huk. Jeden... drugi... trzeci!...

Wnet nad głowami wykwitnęły kołując biało-szare dymki. Grad kul szrapnelowych cisnęła nam pancerka w twarz!...

Biegiem marsz!... Naprzód!...



Poderwała się natychmiast pędem linja. Chłopcy ruszyli tak gwałtownie, tak szybko naprzód, że nie zdążono nawet w działach pancerki zmienić celownika.

Następne huki i szrapnelowe dymki kołowały się już o kilkadziesiąt kroków za nami.

Wpadamy w maleńki lasek, piorunem go mijamy i wylatujemy na polanę, obniżającą się ku torowi. Na samym jej dole ciągną się czarną linją baraki.

W tej chwili, gdyśmy tylko się ukazali na brzegu sosnowego lasku — między barakami wszczął się gwałt. Posypał się stamtąd bezładny, w popłochu zupełnym, w gorączkowem przerażeniu otworzony ogień...

Jednocześnie od strony plutonu pierwszego, znajdującego się nieco wyżej na prawo, rozległ się rozpaczliwy donośny krzyk: pociąg, pociąg ucieka!...

Strzały w barakach milkną. Widać migające tam postacie, słychać wyraźnie gwał krzyk i zamieszanie.

W jednej chwili domyślam się—to cofający się bolszewicy w szalonym popłochu ładują się na pociąg...

Nie dogonimy go już. Sześćset kroków!... Za daleko!...

To samo zrozumiało prawe skrzydło, gdyż lekkie maszynki momentalnie się zmontowały i poczęły zapamiętale bić w długi czerwony pociąg, buchający dymem.

— Padnij!... Celownik 600!... Strzelać!...

Rozgruchotał się gwałtowny ogień! Chłopcy tłuc poczęli do dużego, widnego celu; maszynki aż zanosiły się od bezustannego, zajadłego trajkotania...

Stanąłem na jakimś kamieniu i staram się przebić wzrokiem zarośla, baraki i dojrzeć pociąg. Tam nastał widocznie sądny dzień, gdyż krzyk mimo ognia aż do nas dochodzi...

Za kilkanaście sekund pociąg ruszył i z nadzwyczajną szybkością zaczął nam ginąć z oczu...

W tym samym momencie tuż za czerwoną linją umykającego pociągu towarowego przesuwać się zaczęło coś czarnego.

Łysnęły stamtąd za chwilę jeden po drugim cztery blado-żółte, zielonkawe płomienie i w jednej chwili straszliwe wstrząsy czterech wybuchów rzuciły nami, a okropny, przeraźliwy huk ekrązytowych granatów runął w las... Wy-

sokie słupy ziemi i ciężkiego czarnego dymu wzbiły się do góry...

Pancerka — psiakrew pod samym nosem!...

Nim nowe zielono-żółte błyski trzasnęły nam w twarz, już poderwaliśmy linję.

Gwałtowny krzyk przebiegł po całej linji: Naprzód... naprzód!...

Zerwali się na nogi piorunem chłopcy i pędem poczęli biec ku pierwszym osłonom, ku czarnym, niedalekim barakom.

Znów kilka błysków i potworne huki, kłębiące, walające się po ziemi czarne masy dymu ekrazytowych granatów...

Dopadamy do baraków i tam z ukrycia, z poza różnego rodzaju nasypów, dołów, rowów otwieramy gwałtowny ogień na spokojnie jeżdżącą wzdłuż toru pancerkę, raz po raz łyskającą blado-żółtemi płomieniami bliskiego, działowego ognia.

Rozpoczęła się zacięta, gwałtowna walka piechoty z pancerką.

Odległość, jaka dzieliła potworne, żelazne cielsko pancernego pociągu od poukrywanej między barakami piechoty, wynosiła zaledwie 300 do 400 kroków.

Chłopcy dorwawszy się do jakiej-takiej pozycji strzeleckiej, łupili, ile tylko wlazło, zasypywali ogniem pociąg, który spokojnie, jakby drwiąc sobie z naszego ognia — raz po raz zionął płomieniem, niby bajeczny, podwawelski smok...

Stanąłem przy jakimś baraku i przeglądam szybkiemi oczyma pola.

Na przestrzeni kilkuset kroków, między dołami, nasypami i rowami barakowymi, w które zagłębiła się piechota, a laskiem, gdzie nas poderwały z miejsca pierwsze granaty pancerki, na lekko podnoszącej się ku górze polanie leży kilkunastu żołnierzy.

Wielki, jasny blask słoneczny południa pada na nich z bezchmurnego nieba i gra migotliwemi skrami na metalowych, białych kociołkach, które zwieszają się im z plecaków.

Trupy, tchórze czy ranni?...

W każdym razie biedni... Próżno wbijają się w ziemię, chcąc się ukryć jak najbardziej. Zdradliwe kociołki dają doskonały cel, i artylerzyści z pancerki, sądząc widocznie, że to linja tyraljerska tak migoce w słońcu — skierowali na tych „łazików“ celowniki.



Co moment, w mig za błyskawicami płomieni, buchających z czarnego cielska pancerki — rozwala się grom po gromie i słupy rozdartej ziemi wznoszą się wysoko ku górze z pomiędzy błyszczących kociołków bitewnych maruderów.

Czarny dym gęstemi zwojami, duszącemi kłębami zwija się i ściele po jasnej polanie.

Śmiać mi się chce w duchu z tych „morowców“, z których napewno niejeden dobrze przypłaci swą powolność, a tymczasem przykładam gwizdek do ust.

Ostre, przedzierające się z trudem przez gwałtowny łomot ognia gwizdki na „bezpiecznik“ po chwili ściszyły ogień.

Obawiam się, że pancerka może schwytać dobry celownik i dać nam wreszcie „szkołę“, tembardziej, że nie wystarcza jej sam ogień działowy a zaczyna tłuc zapamiętale z kilku naraz karabinów maszynowych.

Linja ścichła, zapadła się w ziemię. Po chwili pancerka obawiając się snać o swój odwrót i o całość toru — powoli zaczęła wycofywać się.

Jeszcze kilka żółtych błysków, kilka łomotów, zwalających się z przeraźliwym, łamiącym trzaskiem ekratyzowych granatów — i cisza gorącego południa objęła las, baraki, polany i tor.

Podnoszę tyraljerę i pcham naprzód. Rozrzuciła się kompanja w biegu ku pancerce na ogromnej przestrzeni, — gdzieś tam, daleko, poznaję wzniesiony kij Julka Neumarka i wysoką postać Tadka Młodkowskiego.

Po kilku minutach dochodzimy do toru, zgrzani, zmorwani, spoceni i brudni, jak nieboskie stworzenia.

Na torze cisza. Budynki stacyjne puste, — znikąd głosu żywego ducha, wszystko zdaje się zdążyło wywiać.

Na szerokiej drodze, biegnącej obok toru ściągam kompanję. Zbiórka.

Schodzą się chłopcy, pomordowani, spoceni, zgrzani, zmęczeni do upadłego bieganiem w upale słońca i w ogniu granatów tak bliskim, w jakim nawet nam, starym żołnierzom, nie przytrafiało się znaleźć, zemocjowani do najwyższego stopnia, zagadani o swych przygodach.

Z trudem udaje się opanować roztrzęsionych chłopaków i dokonać porządnej zbiórki w ordynku.

Coraz to nowi przychodzący, znoszą nowiny: ten ranny, panie poruczniku... inny pewnikiem zabity...

W pewnej chwili z najdalej wysuniętego prawego skrzydła przynoszą tak paskudną wiadomość, że aż mię zatyka...

— Podchorąży Grzyb zabity, panie poruczniku — z trudem ze spieczonej gardzieli i spękanych, zeschłych warg wydobywają się słowa któregoś z kaprali...

— Co wy mówicie?... Nie może być!...

— Granata jak nie wyrżnie pod nim, to aż całkiem w dymie zniknął — dodaje jakiś inny żołnierz.

— Pod samemi nogami wybuchł podchorążemu...

— Psiakrew, psiakrew... klnę, nie mogąc nic innego z siebie wydobyć, jak tylko wściekłe przekleństwa — a to się chłopakowi dostało!...

— Oj, tam strasznie bili, panie poruczniku; jużeśmy myśleli, że ani jeden z nas nie wyjdzie...

— Granatami to tak walili, że strach, a z karabinów maszynowych to kulki jeno: cyk, cyk, cyk... tak siupały w błoto, jakeśmy dopadli do baraków...

— Djabli nadali z tą pancerką — klnąc ciągle, martwię się Grzybem. — I nie został tam nikt przy nim—zwracam się do świadków jego prawdopodobnej śmierci...

— Ale!... my biegli dalej, bo tak przecież bili w tych, co zostawali, że strach...

— Pewnie, ino ten dobrze zrobił, kto nogi wyciągał, a leciał naprzód...

Tymczasem zbiera się reszta kompanji. Ściągają chłopcy ze wszystkich stron z krzaków, mokrych łąk i bajorów, gdyż w biegu tyraljery na tor i na pancerkę rozrzuciła się kompanja na ogromną przestrzeń.

W pewnej chwili, gdym odliczał sekcje, chcąc jaknajprędzej uporządkować kompanję — znów mię „zatkało“... Zatkało dosłownie, bo oto z poza zakrętu drogi wynurza się z niskich krzaków blado-żółty, ledwie nogami włóczący... nie kto inny, jak cały i żywy — Grzyb!!

— Józiek, rany Boskie! rzucamy się na niego, jak zwierz...

— Ze spieczonych, zeschłych warg Józka zaczynają jęczeć jakieś „obolałe“ słowa.



— A pierony... Mało brakowało, żeby mnie całkiem rozniosło! —

— Gadaj no, jak się stało — wołam i obmacuję go na wszystkie strony i boki, utytłane w piachu i ziemi, patrząc, czy faktycznie ma zdrowe i całe gnaty.

— Wyobraź sobie — mówi Grzyb zbolałym głosem — że pod samemi nogami wyrżnął mi granat. Nie wiem, co i jak — dość, że mię całkiem ogłuszyło, przewróciło, potłukło, osypało!...

— Aleś cały to grunt!!

— Czekaj, opowiem ci jak to było, bo to poprostu niebywały fakt — jęczy Grzyb...

— Gadaj, gadaj...

— Ano, leżę — o Bożym świecie nie wiem. Po chwili otwieram jedno oko, drugie, ale się boję ruszyć, żeby nie zobaczyć jakiej naderwanej ręki, nogi lub innej głowy. Wszystko mię boli, roztrzęsiony jestem zupełnie i po kilku dobrych minutach powoli zaczynam przychodzić do przytomności... Unoszę głowę i widzę was, jak gnacie naprzód, jak rżną w linję granaty. To mi dodało otuchy. Aha — myślę sobie — żyję! Lecz niebardzo temu wierząc, zaczynam sprawdzać. Ruszam prawą nogą — cała. — Ruszam lewą — też się jakoś trzyma! Z kikutami dobrze — kombinuję. Ręce podrapane, ale wiszą. Macam głowę — maciejówka jest — wszystko w porządku! Zdecydowałem się wobec tego podnieść i wypróbować funkcjonowanie moich gnatów.

— No, i jakoś się podniosłeś — wołam już całkiem w dobrym humorze, tembardziej, że Józiek się ożywił i nawet zaczyna już z odpowiednim ferworem i zacięciem odpowiadać.

— Postawiłem się z pomocą Boską na nogi, pogratulowałem swojej własnej duszy i mówię: Józiu, jesteś żywy i cały—pomódl się! I powlokłem się za wami...—kończy, sycząc od czasu do czasu, gdy go jakaś kość zaboli bardziej.

— Ale wyglądasz morowo, jakby cię z grobu wyjęto!

— O, szczęście to ma p. podchorąży — dziwią się żołnierze; — myśmy myśleli, że i śladu nie będzie po panu podchorążym!

— Patrzaj, co mi z manierką zrobiło — mówi z „grobu wyjęty“, pokazując metalową manierkę, którą miał przytroczoną do pasa; — całkiem od spodu rozwaliło!...

— Oglądamy ją z zaciekawieniem. Błyszcząca zielona emalja pozbijana do cna. Manierka rozłupana odłamkiem granatu; ślad wskazuje najwyraźniej, iż uderzenie ostrej drzazgi granatu poszło od dołu ku górze.

— Faktycznie, rzadki wypadek — dziwiąc się, oglądamy na wszystkie strony manierkę, która już poszła w „kurs" między kompanję, rozdziawiając gęby zdumionym rekrutom.

Grzyb tymczasem dorwał się do mojej manierki i wypróżnił ją do cna z herbaty. Parsknął, jakby się conajmniej dobrej śliwowicy napił, wytarł chusteczką twarz i przeciągnął potłuczone kości.

— No, jakoś się już lepiej czuję; jutro będę zdrów jak koń!

— Będziesz zdrów, napewno będziesz, — chyba, żebyś „kopytka" wyciągnął i zameldował się Bozi — pocieszam go i zabieram się ostatecznie do zbiórki kompanji. Narazie zupełnie się nie orjentuję jakie są straty w kompanji. Wedle bezładnych opowiadań żołnierzy, powinny być dość duże, lecz niebardzo się tem przejmuję, widząc, że w rozgorączkowanej imaginacji rekruckiej każdy, który upadł, to trup albo ciężko ranny. A iluż to padało podczas biegu dla odsapnięcia lub poprostu dlatego, że nieco w tyle wydawało im się bezpieczniej.

Tymczasem maszeruję na dworzec, gdzie zapewne jako w centralnym, najważniejszym punkcie ataku zbiorą się i pozostałe kompanje.

Pchnąłem patrol naprzód, a z resztą kompanji idę przez wysoki sosnowy las, z poza którego czerwienią się budynki stacyjne.



Stacja Soły, jako pierwszy przystanek kolejowy przed Smorgoniami, oddalony od nich o 10 zaledwie kilometrów, była przez trzy prawie lata olbrzymim składem prowjantowym i amunicyjnym kilku dywizyj lub może całej armji niemieckiej, zajmującej linję frontu od Smorgoń po jezioro Narocz. To też maleńka i nieznaczna zupełnie przed wojną stacyjka zamieniła się przez te trzy lata w ogromne miasto baraków, składów, urządzeń, z rozlicznych stacyj wąskotorowych kolejek podjazdowych, olbrzymich zapasów amunicyjnych i prowjantowych, słowem, w potężną „bazę" amunicyjno-prowjantową całej armji.

Cały teren naokoło stacji w promieniu kilku kilometrów został dosłownie przewrócony do góry nogami. Na wszystkie strony rozbiegające się szerokie niemieckie drogi, poukładane równo z najwspanialszych sosen i jodeł litewskich, zewsząd skopana i zryta ziemia nasypami niezliczonych linij torów kolejek podjazdowych, podwożących ongi do okopów niemieckich dzień i noc amunicję, prowiant i żywe rezerwy. W młodych sosnowych lasach poukrywane przed bystrym wzrokiem lotników czają się w gęstwinie zieleni liczne baraki ze składami amunicji karabinowej i artyleryjskiej. Gdzie się trafił nieco wyższy teren, nieco piasku i suchego igliwia sosen, tam poryto głębokie jamy — schrony, pozabezpieczane stalowemi szynami, potężnemi pniami dębów litewskich, żelazem i wytrzymalszym nad siłę wybuchu bomb — białym betonem. W jamach tych i schronach, w jasnych żółtych skrzyniach, w szczelnie pozbijanych pakach poukrywane leżą spokojnie tysiące kilo dynamitu i ekrazytu.

Wśród tych rozlicznych zabudowań, szop i baraków, budynków różnej wielkości, poobijanych czarną, smołowcową papą, wśród których ongi kipiał ruch uwijających się setek żołnierzy niemieckich—panowała teraz zupełna cisza...

Na rampie przy rozjeździe kilku dróg i torów kolejowych, wśród czerwonych domków stacyjnych leżeli pokotem w słońcu żołnierze. To kompanje, które po zajęciu miasta wpadły na dworzec. Patrole posłane wprzód, — reszta zmordowana odpoczywa po całonocnym marszu i bitwie.

Maszeruję tam z kompanją. Oparci o przydrożny „szlaban", siedzą i stoją oficerowie 12-ej kompanji, która pierwsza przeleciała miasto i wpadła za bolszewikami na stację. Jest Chilewski, Drotlew, Jurek Wądołkowski, Heilman — wszyscy do cna pomordowani spoceni, brudni, i po-



Przed schronieniem betonowym w Sołach.

kryci kurzem zajadają wspólnie jakiś bochenek suchego chleba i, popijając kawę, przysłuchują się żywym rozpowiadaniom różnych urzędników kolejowych, którzy powyłazili już z różnych dziur.

Krótkie powitanie i, jak zwykle, obgadywanie wrażeń bitwy. Zapakowawszy kompanję do jakiegoś lasku, by odpoczęła w cieniu drzew, przerywając od czasu do czasu swemi uwagami — słucham opowiadania o przygodzie Drot-



lewa z pancerką, który zaciągając po lwowsku, z różnemi wyginaniami, z żywą i nader pocieszną gestykulacją, z całym repertuarem „technicznych" wyrażeń, absolutnie i pod żadnym względem do druku się nie nadających, rozpowiada o swojej przygodzie z pancerką, która nam dzisiaj takie... t. j., delikatnie mówiąc, taką szkołę dała.

Czego w tem opowiadaniu niema. I urwisowski śmiech z nabrania i „wykiwania" pancerki i wściekłość, że jej ruszyć nie można było, i strach o kompanję, której faktycznie dać mogła po skórze — słowem, wszystkie odcienie złożonej i skomplikowanej psychologji starego żołnierza, który patrzy, jak kot na słoninkę za wystawą, na wymykającą się zdobycz.

— Maszeruję z plutonem wzdłuż toru — mówi Drotlew. — Walę na Soły, patrole posłałem wprzód, sam z resztą sunę popod nasypem. Aż w pewnej chwili przylatuje rekrut, zielony i niebieski z przerażenia.

— Panie porucniku, ola Boga, — pancerka idzie!

— Gdzie? — wołam i wskakuję na nasyp.

— Adyć, granatę puści, panie porucniku — woła rozpaczliwie mój morowiec i gwałtem ściąga mnie nadół...

— Idźże, trepie, dziadu sakramencki, nie ciągnij za spodnie. — Gdzie pancerka? — wołam i w tej chwili zeskakuję jeszcze szybciej, bo nagle z poza zakrętu, z małego lasku widzę, jak pyka już białym dymkiem „broniewik fiederatiwnoj respubliki"...

W tejże samej chwili przypada skulony, zestrachany patrol. Kombinuję że źle, boć pancerki nie ugryzę ani wojował z nią nie będę, więc z cicha a mocno wołam na rekrutów, zbaraniałych zupełnie i przelęknionych, przylepionych prawie do nasypu: Jazda w krzaki—już!...

Jakby w nich najjaśniejszy piorun trafił... Anim się obejrzał, jak moje chłopaki buchnęły w błoto, w wodę, w krzaki jakieś i zarośla, że ani oko, ani ucho...

Skiknąłem też sobie za jakiś jałowczyk i kucnąłem, czekając, jaki z tego będzie wynik i skutek wesoły. Obzieram się na chłopaków, żeby się zaś morowo pochowali, i klnę w duchu, bo nawet granatów nie zdążyliśmy pod tor nałożyć, a tymczasem delikatnie zerkam w prawo, jak zając pod krzakiem przycupnięty, czy już idzie... Za chwilę, posapując, jak stara baba, zwolna ostrożnie, wytacza się z lasu żelazna góra pancerki.

Wpadłem, jak śliwka w błoto — myślę sobie i przy-

warłem zlekka do ziemi, bo mi się trochę niemiło zrobiło. Zobaczy, psiakrew, taka suchojewa-pancerka, rozewrze pysk, trajkotać zacznie z maszynek na sto kroków lub wyrżnie kartaczem — i co zrobisz? Dziecka nie zrobisz, żelaza nie ugryziesz. I złość mnie zaczyna coraz większa ogarniać — boć taka gratka nieprędko się zdarzy... Żeby ofermy dziesięć minut przedtem zameldowały, nakładłoby się pod podkłady ze 20 granatów styliskowych i możnaby ją zlekka nadgryźć... A tak to co? — Gały wytrzeszczaj, morowcze, i wróż se ile jest dwa razy dwa, a ze strachu nie pomyl... Tfu — do djabła...

Rozeźlił się chłopak na dobre.

— No i co — dęba zrobiła, gadajże!

— Wyjechała dziewica, uważasz z lasu, stanęła se pod sosenkami — i nic. Czekam — może podjedzie trochę bliżej, chciałbym też jakiego „towariszcza" zbliska na wolności bujającego dojrzeć—ale gdzietam! Nie starali się kuzynkowie Trockiego podjechać bliżej, gdyż czuli pewnie pismo nosem i naszą artylerję. Postali, postali, jeden nawet wlazł se na wierzch i oglądał wierzby, a potem leciuchno, wolniutko... pych, pych... i z powrotem do Sół.

— No, mój kochany, chwal Pana Boga, żeś na sucho wyszedł, bo ci łaźnię mogła sprawić jeszcze gorszą niż mnie — i opowiadam o swoich awanturach z pancerką.

— Ależ jej nic absolunie zrobić nie można — wtrącają się inni oficerowie. Na piechotę sobie gwiżdże, masakry jeszcze narobi, ludzi natłucze i pojedzie. Tu tylko dobra artylerja coś może zrobić...

— No, taka pewna siebie, to ona znów być nie może—łatwo ją można nakryć, wysadziwszy tylko tor z tyłu...

— W tem właśnie cała sztuka!.. Wysadzić tor, wysadzić tor... Mamy ułanów jeżdżą se na kobyłach, coś tego niby robią, na pancerkę się z pudem ekrazytu zasadzają, a ona, jak jeździ, tak jeździ...

— No, w końcu wpadnie.

Rozmowa toczy się ogólna. Na jedno się wszyscy zgadzają, że lepiej ją omijać.

Tymczasem ruch na rozjeździe powiększa się z każdą chwilą. Nadjeżdża dowódca bataljonu z 3-go pułku, co chwila wpadają i kręcą się na zgnanych, pomordowanych koniach ułani, a wszyscy szukają Bortnowskiego, który stanął gdzieś z kompanją Liwacza.

Rozkazów jeszcze na razie żadnych niema, wiem, że



patrole poszły, więc pchnąwszy gońca po kuchnie z obiadem, szukam jakiego miejsca, gdzieby się można kropnąć i dobrze wyspać. Nie czytam nawet najświeższych „Młotów" i „Zwiezd" bolszewickich, któremi wszędzie wiatr się bawi, lecz rozkładam płaszcz na trawie i za chwilę śpię jak suseł.

Obudził mię ordynans po dobrych kilku godzinach, o jakiejś 4 popołudniu, stojąc nademną z herbatą i pełną menażką ryżu.

— Panie poruczniku — obiad!...

— Aha — to ty Staszek! Dobrze — porucznik Młodkowski wrócił?

— Nie jeszcze, kuchnia tylko przyjechała...

Zjadam ryż ze słoninką, trochę za tłusty jak na ten dzisiejszy upalny dzień i wlokę się do kompanji, która o jakieś dwieście kroków rozłożyła się w małym lasku. Dopiero teraz, po trzech czy czterech godzinach snu — czuję bitwę. Kości mię bolą, jakby mi je kto kołem łamał, nogi aż uginają się ze zmęczenia, każdy krok odbija się bólem pościeranych w bieganinie nóg. Buty wymoczone na łąkach i bagnach stwardniały przez te kilka godzin na kamień, wszędzie czuję piach i kurz: w rękawach, butach, spodniach, za koszulą, pod maciejówką...

Dowlokłem się wreszcie do kompanji, która skupiona w lasku zajada się ryżem. Za chwilę przynosi mi łącznik rozkazy od Bortnowskiego i jednocześnie prawie nadchodzi Tadek Młodkowski. Okazało się, że zaleciał z częścią ludzi bardziej na prawo i tam czekał na mnie, aż się dowiedział od idących wprzód patroli, że wszystko jest na stacji.

W rozkazie od Bortnowskiego „stoi" że mamy ubezpieczyć od południa Soły, w różnych punktach. Szukając tych punktów na mapie, jednocześnie szukamy oczyma jakiejś dla nas kwatery. Wybór padł na domek kolejowy, gdzie jacyś całkiem znośni mieszkają cywile.

Wartość miłej, jasnej kwatery z czysto zasłanem łóżkiem i miękkiemi poduszkami, z „cywilnemi" obiadami i śniadankami ocenia się dopiero wówczas, gdy po tygodniowych marszach i włóczęgach, raz po raz przeplatanych bitwami, po całodziennej walce, gdy się poprostu człek zwala się z nóg ze zmęczenia — znajdzie się czystą jasną kwaterę, z „cywilizowanemi" urządzeniami, z miłą gosposią, kolorową lampą i białą kawą.

Z prawdziwie duchową rozkoszą rozłożyliśmy się we czwórkę na białych prześcieradłach łóżek, po kołdunach

i miodzie, po świetnej litewskiej kolacji, przyrządzonej przez gospodynię, żonę urzędnika kolejowego — miłą, usłużną kobiecinkę, i wyciągając rozkosznie pomordowane kości, rozgadujemy się o bitwie, chłopcach, Polsce i Komendancie, o tej naszej litewskiej wojnie i radosnej ofensywie, o wyzwalaniu tego kraju, w którym już z dawien-dawna słuch o polskim żołnierzu wraz z grudami na mogiły sypanemi zapadł głęboko w ziemię,

Po bieganinie wśród trzasku i huku ognia, po naprężeniu nerwów i wysiłków woli, po różnorodnych emocjach walki, po niesłychanym wysiłku fizycznym, po kurzu i zamorusaniu potem bitewnym—jakże rozkoszne ogarnia uczucie, gdy po wymyciu się do czysta pogrążyć się można w świeżą biel poduszek i, nasłuchując z poza otwartych szeroko okien wieczornej pieśni słowiczej—snuć opowiadania i pogwarkę o tem, co stało się przed chwilą, co teraz w oczach naszych się przewija, a co przez lat tyle marzeniem tylko było i zda się niedościgłym nigdy snem...

Spokój, rozkoszne poczucie spełnionego obowiązku, zadowolenie, że wyszło się cało z pod kul, że raz się jeszcze wykpiło „ciotusze śmierci“, spotęgowało jeszcze poczucie zupełnego bezpieczeństwa ze strony bolszewików..,

Albowiem nietylko patrole kawaleryjskie, ściągające pod wieczór z wywiadów, przyniosły wiadomości o cofnięciu się bolszewików aż poza Smorgonie, lecz i cywile napływający stamtąd, ciekawie „do Polski“ zdążający, przynoszą coraz to weselsze wiadomości o przerażonych krasnoarmiejcach, którzy aż na Zalesie poza Smorgonie się wycofali, burząc za sobą kolejowe mosty.

Późna, już była noc, wysoko stał księżyc na gwiezdnem niebie, jasną poświatą przesyciwszy mrok wieczorny, gdyśmy—pomordowani walką i znużeni—posnęli.

Wielki słoneczny blask wiosennego dnia zbudził nas. Najradośniejsze dzwonne powitanie skowronków wpadało wraz ze świeżemi zapachami łąk i litewskich borów przez otwarte okna. Ogarnęła nas ta warjacka prawdziwie radość życia i słońca, radość wiosennego dnia, gdyśmy po przetarciu powiek poduszkami na się rzucać poczęli, jak za najszczęśliwszych, niefrasobliwych dziecinnych lat,..

Noc przeszła spokojnie. Ani jeden strzał nie zmącił głuchej nocnej ciszy, chórem żabim z łąk i jezior rozedrganej, ani razu nie przedarł mroku ostry błysk alarmowego wystrzału wedety...



Gdzieś tam tylko na północy z grupy Tokarzewskiego i Dęba-Biernackiego błyski armatnie gadały po niebie o wojnie, lub z południa od Oszmiany, od oddziałów Roji szedł pomruk dział, jakby odgłosy przechodzącej stronami burzy...

Oficer służbowy kompanji, którego nieszczęście kolejki służbowej dotknęło w tę cichą noc, zdając następnemu służbę, użalał się na rekrutów, których zmęczenie walką i cicha noc tak zmarzyły, że na wedetach co chwila kiwali się sentymentalnie nad bagnetami i niewinnie zasypiali, aż „służbowiec“ musiał noc całą tłuc się między posterunkami i straszyć rzekomo zbliżającymi się bolszewikami, by zegnać posterunkom sen z powiek...

Kompanja, również jak i my szczęśliwa, wypoczęta i wyspana—obżera się poprostu rozlicznemi „fasunkami“, które już dogoniły nas i zatkały gęby żołnierzom słodkiemi marmoladami, amerykańskiemi smalcami, słoninami i konserwami pani Wilsonowej.

Dzień gorący, upalny, jak wczorajszy—bezwietrzny i cichy. Wokół baraków porozkładana wiara wyleguje się na słońcu bez koszul, które poprane bielą się na zielonej, wysokiej trawie.

Prawdopodobnie ze dwa dni tutaj posiedzimy, by, nabrawszy nowych sił i temperamentu, ruszyć na Smorgonie, tembardziej, że krasnoarmiejcy są mocno spieszeni ostatniemi naszemi atakami, które im napędziły takiego strachu, że nieprędko z niego ochłoną.

Smorgonie — to ponoć miasto ruin i śmierci, lecz ciągnie się tam stara linja okopów niemieckich, które prawdopodobnie na dłuższy czas zajmiemy, by znów ruszyć naprzód, ku dalekiej, północnej Dźwinie.

Po dwudniowym odpoczynku w Sołach przyszedł spodziewany zresztą rozkaz marszu na Smorgonie i zajęcia linji okopów niemieckich, które tam potężną masą drutów, drzewa, żelaza i betonu dadzą nam doskonałe oparcie przy obronie, i ewentualnie przy wypadzie.

9-go maja wczesnym rankiem zebrały sie kompanje przy zbiegu dróg i toru, tuż pod naszą kwaterą. Ze śpiewem i chrzęstem, głośno i wesoło ściągają poszczególne oddziały z miasteczka i wsi okolicznych.

Od Sół prowadzą liczne, szerokie drogi, powykładane drzewem, ku linji frontu. Na mapie przedwojennej mamy

zaznaczony jeden tylko trakt wileńsko smorgoński, który hen na Mołodeczno i Mińsk prowadzi,—lecz w terenie, gdziekolwiek okiem rzucić, wiją się i splatają dziesiątki dojazdowych dróg, doskonale jeszcze zachowanych. Na jednej z tych dróg wyciągają się długą kolumną dwa bataljony piechoty, artylerja, tabory...

Mimo wczesnego dnia, maszerujemy w spiekocie słońca i tumanach suchego pyłu, okrywającego całą kolumnę szarą warstwą spylonego piachu. Kompanje rozciągnęły się długim wężem, by zmniejszyć choć trochę żarcie piachu i duszący w promieniach słońca kurz.

Maszerowaliśmy kilka godzin ku Smorgoniom. Okolica—im bardziej zbliżamy się do starego frontu, zaczyna przybierać charakter coraz bardziej pustynny. Po drodze ku Smorgoniom przemaszerowaliśmy zaledwie przez kilka wsi, których ludność wita nas z nadzwyczajną sympatją i życzliwością.

Niejednemu legunowi, ktory tu zawędrował gdzieś z pod Sanoka czy innego Żywca, oczy się szeroko otwierają, gdy słyszy naokół polską mowę.

A rozbrzmiewa tutaj ona radośnie z każdej izby, z każdej chałupy wiejskiej, mimo, iż z każdym kilometrem coraz bardziej od rdzennej Polski się oddalamy. Jak w nieprawdopodobnych nowelkach literackich, do wsi wpadającym ułanom wpinają dziewczęta kwiatki do szarych bluz.

Wszędzie nas wita ludność polska. Przeciągają chłopi, w płótniaki poprzybierani, nieco z litewska lub po białorusku w domu rozmawiają — lecz w każdej chacie znajdziesz elementarze polskie, polskie książki do modlitwy i zauważysz w rozmowach silne poczucie polskości.

Maszerujemy naprzód z pieśnią radości w duszy. Wogóle posuwanie się nasze coraz dalej na wschód przynosi nam całą masę świeżych, radosnych wrażeń, moc charakterystycznych spostrzeżeń. Po przykrych, niemiłych wrażeniach frontu lwowskiego, gdzie z każdej ruskiej chałupy czyhały złe oczy, a z za węgła wysuwała się lufa karabinu, po dzikim, fanatycznym oporze ukraińskim—wojna litewska zdaje się rajem. Zaledwie pokaże się nasz patrol kawaleryjski, lub wysunie się z pod lasu uważna szpica szarej piechoty — już gdzieś z za pagórka, z za krzaków, z ogrodów biegnie jakaś dziewczyna, lub w susach przypada chłopak z wiadomościami o bolszewikach: Tyle a tyle jest ich w tej



wsi, a tyle w drugiej — i boją się „legjonów“ okropnie...

Lub trzęsącą się ręką pokazuje jakiś starowina, skąd najlepiej „ich“ zajść,—lub, skradając się, prowadzi patrol po dołach i krzakach jakiś wyrostek wiejski...

I tak wieś po wsi, miasteczko po miasteczku wpadają od tygodnia w nasze ręce. Zdemoralizowani „krasnoarmiejcy“ wpadają w rozpacz. Gdziekolwiek się zatrzymają i ustawią „pulemioty“, już „legjoniery“ z tyłu „obchodiat“.

I to „wojewanje razumom“ doprowadza ich do takiej rozpaczy i demoralizacji, że wystarczy patrol z kilku ludzi złożony, jedna serja z karabinu maszynowego, skierowana w chałupy, by wieś cichła, a „krasnoarmiejcy“ co tchu wyrywali bez butów w las...

W takich warunkach, gdzie nieprzyjaciela bije się szybko i łatwo, gdzie ludność z radością i łzami wzruszenia przyjmuje nas w każdej wsi, widzimy, jak nasz młody żołnierz coraz lepiej wczuwa się w tę wojnę i coraz bardziej się do niej zapala.

Rekrut — niedawno wzięty ze wsi z Lubelskiego czy Łomżyńskiego — zaczyna pojmować bieg spraw. Zajmując wieś po wsi, polskie — nieomal, jak nad Bugiem czy Pilicą, znękane niemiecką gospodarką i bolszewickim terorem—odczuwa żywiej i głębiej swoją rolę. Odczuwa tem żywiej, że widzi, w jakich warunkach ta ludność tutaj żyła, rozumie — gdyż przemawiają do niego w śpiewnym, polskim języku wyniszczone, blade postacie; prostą swą chłopską duszą reaguje żywo na te nieszczęścia, które tę ziemię od tyłu lat targały do głębi.

Jedna jest tylko przykra strona tutejszych wrażeń. Głód!... Gdziekolwiek wejdziemy, wita nas łza radości, lecz na pobladłej z wyniszczenia twarzy. O takiej nędzy nikt z czytających te słowa nie ma wprost pojęcia. Sambym nie uwierzył, gdybym na własne oczy tego nie widział. Dość powiedzieć, że cała prawie ludność w stronach tych, przez które przechodzimy, żywi się gotowaną pokrzywą. Co krok spotykamy ludzi, zbierających na pożywienie pokrzywę i trawę. Kraj tak niesłychanie zniszczony, że żadne opisy nagiej prawdy nie oddadzą.

Przyniesiono mi podczas marszu z jednej chałupy chlebkawałek; czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Mia-

ła ta bezkształtna masa kolor czarnej zbrukanej ziemi, lepkość rozmiękłej gliny — a smak... Nie wiem, bo za nicbym tego do ust nie włożył.

Wyniszczyli, wygłodzili te strony Niemcy przez 3 lata okrutnego, bezwzględnego rabunku. Dopełnili miary bolszewicy, to też dzisiaj chłop za uzbierane pieniądze różnego rodzaju, koloru i wymiaru, ruble carskie, dumskie, kierenki, osty i marki kupuje na zasiew nieco kartofli, a sam się żywi pokrzywą.

Szczególniej okolica, bezpośrednio dotykająca biegnącej tu przez 3 lata linji frontu niemiecko-rosyjskiego, do którego się zbliżamy, przedstawia się przerażająco. Smorgonie — podobno, jak mówią chłopi, duże przed wojną i zamożne miasteczko — dzisiaj — kupa gruzów, porosłych trawą i zielskiem. Wsie wzdłuż tego frontu — istnieją tylko na mapie. Na ich miejscu wiją się, kręcą, rozchodzą się na wszystkie strony nieprzeliczone linje okopów. Druty kolczaste, żelazo, beton, ziemianki z tak potężnych pni zbudowane, że na wieki pozostaną wkopane w ziemię.

Ogromny, przerażający pas pustyni, zręby rozsypujących się okopów sprawiają wrażenie rozkładającego się potwornego trupa...

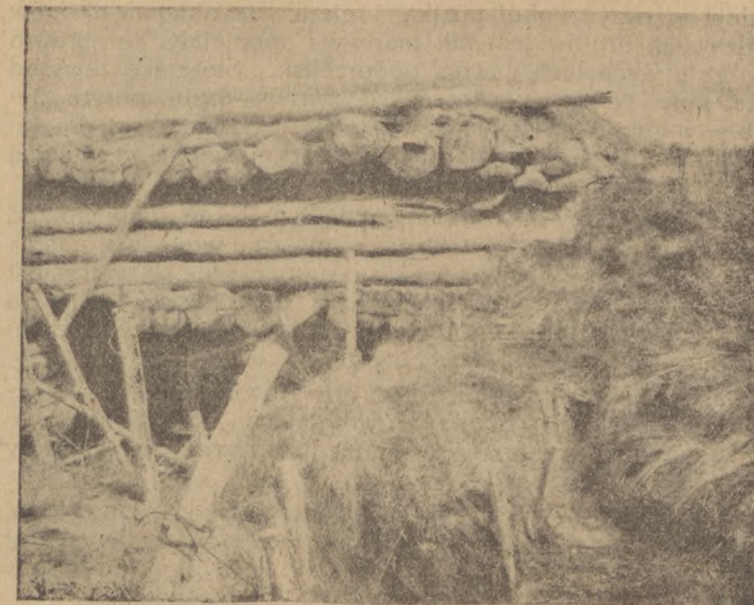
Co raz to kolumna przedzierać się musi poprzez zwały splątanych drutów, raz po raz zarzucać trza deskami, wyrywanemi z okopów, głębokie rowy wijących się zewsząd drugich, trzecich i czwartych linij.

Zewsząd, jak okiem sięgnąć, pusty, straszliwie pokaleczony rowami szeroki pas pustynnej, zrytej granatami ziemi, pordzewiałemi pasmami drutów poznaczony w długie, krwawe pasma...

Bataljon zostaje w niewielkim lasku, dziesiątkami żołnierskich grobów poznaczonym, zaś my z kompanją i Bortnowskim kierujemy się ku stacji, by zająć tam pierwszą linję okopów,

Oglądamy ogromne betonowe schrony, tak solidne, że dają się wieki całe przetrzymać, plączemy się wśród istnego labiryntu rowów łącznikowych, dobiegowych, ryglów i rezerwowych pozycyj. Po przejściu przez zdala odcinający się rdzawo-brunatnym pasem teren kolczastych drutów, dochodzimy w kilku do miasta, pozostawiając kompanję na stacji.





Smorgonie. Rozsypujące się okopy niemieckie,

Miasto ruin i śmierci... Pod gęsto porosłemi chwastami, pod krzakami tarniny, dziko rozrosłej, szedł kiedyś uliczny bruk...

Wokół sterczą nagie, czerwone ściany domostw, lub gdzieś zwiesza się żałośnie strzaskany balkon, ledwie, ledwie trzymający się kruchych już cegieł. Zbliżamy się do tragicznie wprost zburzonego kościoła. Wokół pustka... Z domków i sadów, które tu wieńcem dom Boży otaczały, śladu nie zostało. Zdmuchnęły je, jak karciane domki, granaty, których ślady w postaci potwornych wprost lejów pozostały naokół.

Resztek białych, nagich murów czepia się napastliwy chwast... Cały front kościoła, który się rozsypał na tatrzański piarg, zwalony jednem wyrżnięciem granatu. Naokół szczątki murów, porozrzucane potwornym tchem wybuchów. Tymczasem na lewo bataljon 3-go pułku natknął się już widocznie na bolszewików, gdyż zaczyna dochodzić stamtąd gęsta strzelanina. Wracamy natychmiast na stację.

Mamy gorące, parne południe. Blask słoneczny razi i kłuje w oczy; wokół pustka i cisza; szeroki pas okopów i rdzawych drutów jest tak martwy i spopielały, że sprawia wrażenie wygasłych dawno pogorzelisk. Sterczące zewsząd pale, koły, tysiące poskręcanych zwojów drutu, poryta ziemia — mimo jasnych blasków słońca — wdziera się do duszy przykrem, ciężkiem poczuciem głuchej śmierci, panującej nad temi ongi pełnemi życia linjami okopów...

Zaledwieśmy do kompanji wrócili, patrol, wysłany wprzód nad rzeczkę Oksnę, przylatuje z meldunkiem, że z pasma lasu pod stacją Zalesiem wysuwa się pancerka. Natychmiast zganiamy kompanję do okopów, a sami wskakujemy na wysoki dach betonowego schronu i przeglądamy lornetami jasny rzut kolejowych szyn, błyszczących w słońcu.

Na dalekiem ciemnem tle granatowej smugi lasu rozwija się biały ścieg dymku złowrogiej pancerki. Sunie szybko pełną parą wprost ku nam, pewna, że nas zaskoczy w polu.

Sierżanci, wysłani na patrol nad brzeg Oksny, klną, gdyż nie zdążyli wysadzić mostku na rzeczce. Jasną jest rzeczą, że pancerka rżnie wprost ku nam, aby nas wziąć pod ogień swych ośmiu maszynek i sześciu dział...

Rozrzuciliśmy ludzi w głębokich okopach i czekamy z zapartym tchem.

Kompanja, ukryta w głębokich, porosłych zielskiem i trawą okopach, plącze się i gubi wśród istnego labiryntu osypujących się, niepewnych każdego stąpnięcia kładek, osłon, pali, których nie spaja już pordzewiały drut — wreszcie zgromadziła się w kilku „pochylonych wiekiem“ linjach i „podekowała“...

Chłopcy, którzy pod Sołami zasmakowali „broniewika“, bynajmniej nie mają zamiaru drugi raz dostać się pod tak bliski ogień bezczelnej pancerki i starają się nie dawać o sobie najmniejszego znaku życia.

Pakujemy się w trójkę na jakiś osypujący się dach schronu i poukrywani nieco w deskach i porozrzucanych palikach. w wysokiej, bujnej trawie — szykujemy szkła.

Po kilku minutach mogliśmy już rozróżnić przez lornety imponujące masywne ściany pancerki. Potężne, pościnane ostro blachy żółto-ziemistego koloru, z płasko-okrągłym czopem obserwatora, z metalowemi szyjami armat, chciwie wyglądającemi na świat, z jej groźną nieustępliwością wobec piechoty — sprawiają na nas dość silne wrażenie.



Przylgnęliśmy jeszcze bardziej po chwili do ziemi, gdyż w powiększeniu szkieł polowych lornet — pancerka zdawała się tuż... tuż nad nami, jakby za chwilkę miała swym potwornem, żelaznem cielskiem pomiażdżyć nam głowy.

Odejmuję lornetę. Moi sąsiedzi mają namarszczone, skupione twarze, na których maluje się głucha, bezsilna wściekłość... Któryś z nich mamrocze o tej „pieskiej“ naszej artylerji, której nigdy niema tam, gdzie potrzeba.

(Piechota bowiem ma zawsze i wszędzie pretensję do innych rodzajów broni).

Pancerka tymczasem stanęła od nas w odległości około 300 kroków. Najdokładniej możemy ją obserwować już bez pomocy szkieł. Leżymy tak — milcząc i gryząc wargi — bezsilni i dość zemocjowani, gdy nagle z boku żółto-szarej, stalowej ściany dmuchnęło jasnym płomieniem działo i runął pierwszy przeraźliwy huk...

W rozgrzanej parnej atmosferze gorącego południa widać było w moment po błysku drganie nerwowe fal powietrza.

W chwilę po pierwszym błysku — następny spadł łoskotem gromu i spostrzegliśmy jak w lewo, na tle czerwonawych murów smorgońskich ruin wykwitły wysokie, czarne słupy ziemi wyrzuconej siłą ekrazytowych granatów...

To piechotę bataljonu 3 pułku, która kręciła się między ruinami, wzięła pancerka pod ogień...

Nas widocznie nie dostrzegła i stanęła o kilkaset kroków, obawiając się widocznie ewentualnych min przy smorgońskiej stacji, obok której przewijają się linje starych okopów.

W pewnej chwili, któryś z oficerów wydał okrzyk ni to radości, ni to gwałtownego zdziwienia...

Oho — jest... jest...

Posypały się zciszone, gwałtowne pytania.

— Co takiego... gdzie?...

— Na pancerce... bolszewik — ze ściśniętych warg ciska się odpowiedź...

Wpijamy się wzrokiem w żelaznego smoka, łyskającego raz po raz żółtym ogniem.

Na tylnej części pierwszego góro-wozu kręci się w jasno-zielonej bluzie towarzysz-bolszewik. Rozkraczony sta-

nął na stalowej płycie i wypatruje Smorgonie. Obok wysunął się zaraz drugi i siedząc na krawędzi żelaznej — giestykuluje.

Ręka ściska kurczowo steyer, — oczy, jak sępie ślepia, wpijają się w ten niezawodny cel. Po głowie huczą i jeżą się myśli mściwe i mordercze...

Jeżeli go ściągnąć z tej żelaznej blachy — pancerka zarzuci nas w tych pogruchotanych przez czas okopach i potracić może ludzi w kompanji... Z drugiej strony — pozwolić mu zejść spokojnie i kierować na 3-ci pułk???...

Widzę w tej chwili, jak Pacholski gwałtownemi a cichemi ruchami przywołuje do siebie pierwszego z brzegu żołnierza... Widzę — i nie mam siły go powstrzymać — jak zbiera się w sobie i składa się do strzału z zabranego żołnierzowi karabinu. Rzucone za ostrym lotem kuli — skupione, pewne oko i palec lekko, leciuchno naciskający cyngiel...

Chłonę oczyma pancerkę. Przez szkła, gwałtownie wciśnięte w oczodoły — wżeram się w jasno-zieloną postać, tak lekkomyślnie i samobójczo stojącą na linji muszki, normalnego celownika i ocznej gałki złowrogiego strzelca...

Osypał się w pewnej chwili piach z popod ramion i trzasnął zgłuszonym hukiem manlicher. Sekunda nie minęła, jak obaj z pancerki runęli w dół... Jeden z nich dostał...

Na ustach strzelca przewija się lekki, zwycięski uśmiech. Nie mówię nic, choć pewien jestem, że za chwilę dostaniemy za swoje.

Na pancerce ścichły na moment działa. Widzimy, jak przesuwają się szyje miedzianych dział i prawie czujemy na sobie gorący dech jasno-żółtych płomieni...

Rozwalił za chwilę pierwszy i drugi grom ciszę senną południa. Rozjęczały się ostre odłamki, i czarny, gęsty dym zwijać się począł po okopach...

Granaty poczęły bić jeden po drugim. Wylatywały w powietrze siłą wybuchu targane szalowania okopów i postrzępione zwoje drutów. Raz wraz wyrżnie granat i niszczącą siłą ekrazytu weżre się w twardy beton lub zmiecie szeroki pokoszlawiony przez czas — okopowy trawers.

Chłopcy zaczynają się zbierać przy wejściach do granatników i kryć się w co bardziej głębszych ziemiankach, litewskim krytych dębem.



A rozwścieczone działa pancerki biły raz po raz z głuchą pasją, ze wściekłym błyskiem żółtych płomieni, kłębami czarnego dymu spowijając nasze okopy.

W pewnej chwili usłyszeliśmy długie chybotliwe poświsty pocisków i ujrzeliśmy dwa słupy ziemi wzbijające się obok pancerki.

Na pewną chwilkę działa pancerki umilkły. Lecz już, po jakiejś półminutowej przerwie rozjęczały się nowe odłamki i łoskot przeraźliwy runął w las...

Tymczasem baterja nasza, która snać już zdążyła zająć pozycję — puściła nową serję granatów. Padły już bliżej pancerki, szarym swym dymem okurzając i zasłaniając ją przed naszemi oczyma.

W tym momencie z niekłamaną radością ujrzeliśmy kontrparę, z sykiem wydobywającą się z pod opancerzonej lokomotywy — i pancerka zrazu powoli — następnie coraz szybciej i gorączkowiej sapiąc, poczęła się cofać w tył.

Nie zrezygnowała jednak z ognia i nie chcąc zdradzać się żółtym płomieniem działowych strzałów — siać poczęła na ostatek z kilku swych karabinów maszynowych.

Lecz nowe, skierowane już na sam prawie tor granaty naszych szczekających polówek — odpychały ją coraz bardziej ku tyłowi — aż gdy wreszcie po kilkunastu minutach, pełną parą ruszyła ku Zalesiu, wlokąc długie pasma białego dymu za sobą — odetchnęliśmy. Stanęliśmy na okopach, by obserwować „nogującą“ pancerkę; chłopcy powyłazili jak szczury z nor ze swych ziemianek i granatników — wokół zapanował wesoły gwar, roześmianych i rozgwarzonych głosów żołnierskich.

Strat na szczęście niema żadnych. Granaty tłukły po okopach, lecz nie mogły odnaleźć celu w tym labiryncie porujnowanych dziur, rowów, łączników dobiegowych, pierwszych, drugich i trzecich pozycyj, tembardziej, że chłopcy poukrywali się w liczne, na kilka metrów głębokie schrony, które niejeden jeszcze ciężki granat z powodzeniem by przetrzymały.

Po pewnej chwili dostaję rozkaz od kap. Bortnowskiego, przyniesiony przez czerwonego od upału lekarza batalionowego dr. Borkowskiego, by zająć okopy od traktu Smorgońskiego po las na prawo, za którym usadawia się kompanja 11-a.

Sądząc z rozkazu, zostaniemy tutaj nieco dłużej, gdyż

zbyt dalekobyśmy się zapędzili. W przeciągu tygodnia odwalić taki szmat ziemi od Wilna po Smorgonie — to niezbyt łatwe zadanie. Prawdopodobnie narazie staniemy, aż do wyjaśnienia sytuacji.

Rozpoczęły się więc dni siedzenia w okopach, wystawiania placówek i wedet, oczekiwania na wiadomości i gazety i na codzienną wizytę naszej opiekunki „pancerki".

Bowiem dzień w dzień, regularnie między 12 a 1 w południe wjeżdżała nawprost mostu przez Oksnę i stamtąd biła na wszystkie strony. To na zwaliska Smorgońskie, to na las, gdzie się mieściły rezerwy i dowództwo baonu, to na okopy pierwszej linji. Szkód jednak żadnych ni strat nie było — bowiem, zaledwie zdążyła oddać pancerka kilkanaście strzałów, już z szumem i chybotem szły pociski naszych polówek, i gromki dźwięczny ich huk zniewalał ją do natychmiastowego odwrotu.

Ten pojedynek pancerki z baterją trwał tak przez kilka dni aż do chwili, kiedy tuż pod torem, w ruiny smorgońskie wwleczono duże nasze dziewiątki, które niecierpliwie oczekiwały na ukazanie się „broniewika".

Następnego dnia jak zwykle w południowej porze zajechał żelazny smok... Zaledwie jednak zbliżył się ku Okśnie— zahuczały dwa działa i zwaliły się z łoskotem granaty pod sam tor. Pancerka — jak rażona gromem — cofnęła się gwałtownie w tył, podała parę z najwyższą szybkością pognała ku lasowi...

Goniły ją jeszcze głuche wystrzały dziewiątek — lecz bez skutku...

Od tej chwili mieliśmy spokój. Od czasu do czasu, zdala, z pod Zalesia, z ciemnego pasma boru łyskała pancerka swym żółtym płomieniem i szukała granatami baterji w zwaliskach Smorgoń...

Na nieszczęsne miasto, na strupieszałe, obumarłe ściany domostw, na rozpacznie stojące samotne kominy, na kupy gruzów — biły znów granaty wzbijając krwawy kurz z dartych pociskami cegieł i zwalały pozostałe jeszcze gdzieniegdzie mury...

Dziewiątki nasze jednak ostały się całe i nienaruszone...

Upłynął tydzień, dzień po dniu dość monotonnie, przerywany od czasu do czasu organizowaniem patroli na drugą stronę Oksny, do bolszewickich ziemianek i okopów. Odsunęli się oni od nas na cztery kilometry, tak że kontaktu ogniowego zupełnie nie było i od czasu do czasu wysyłali płochliwe patrole, które rozrzuciwszy dziesiątki odezw wracały do siebie.



Odszedł w międzyczasie Tadek Młodkowski, by objąć funkcję referenta oświatowego w dywizji przy gen. Śmigłym, żegnany serdecznie przez kompanję.

Całodniowe zajęcia ograniczały się do ciągłych trosk o dokładny dowóz prowiantu, o robienie zapasów na ewentualne dalsze marsze, na naukę żołnierza o okopowej służbie, który po 10-ciodniowej ofensywie, po trzech zaledwie bitwach i po krótkim niesłychanie czasie wyszkolenia niewielkie miał pojęcie o służbie okopowej, o placówkach, wedetach, patrolach etc.

Po nocach tłukliśmy się między drutami i okopami, inspekcjonując posterunki i placówki, odwiedzając po sąsiedzku inne kompanje i marznąc solidnie, bo choć to już połowa maja, jednak śnieg którejś nocy spadł i pobielił okopy a nad ranem ostry przymrozek ścinał swym surowym, oddechem młodziutkie, subtelne pędy drzew.

Z dowództwa baonu sypią się różne projekty nowych wypraw, a narazie energja cała obraca się na przemyśliwaniu jakby najlepiej a bez niczyjej krzywdy porozdzielać odcinki kompanjom przy zmianie.

Bowiem teren jest różnolity i gdy jedna kompanja ma wspaniałe suche okopy w lesie, inna brodzi w wodzie, która zalała do cna wszystkie rowy.

Któregoś wieczora, gdy nad moją betonową ziemianką, zaopatrzoną w maleńkie, okratowane delikatnie okienka, huczał na podobieństwo halnego — surowy, prawie zimowy wicher — posterunek wprowadził, obijając się o ciasne, ciemne drzwi i schody kapitana Tomaszewskiego oficera operacyjnego ze sztabu naszej 1-szej Dywizji.

Kapitan klął, witając się z nami, przecierał szkła, które mu zapotniały, gdy wszedł do dusznej i ciepłej ziemianki. Przyjechał dopiero co lokomotywą z Wilna dla wejrzenia w sytuację i zapowiedzał wizytę generała Śmigłego Rydza. Szukał Bortnowskiego.

Telefonuję więc do baonu, a tymczasem paląc obrzydliwe, grodzieńskie papierosy, rozpytujemy ciekawie o sy-

tuację ogólną, która, jak się okazuje ze słów kapitana, jest doskonałą. Bolszewicy, bici i pchani przez całą dywizję Śmigłego, która mimo, iż operuje na olbrzymim wprost froncie, jak na te kilka pułków piechoty, daje sobie jednak jakoś radę. Zręcznie, w porę dla nas, a nie w porę dla wroga, przez generała prowadzone ataki — odrzuciły bolszewików aż na linję jeziora Narocz i Smorgoń.

Wilno więc, dzięki doskonałemu kierownictwu generała Śmigłego, zostało najzupełniej zabezpieczone.

Po pewnym czasie zajechał Bortnowski, i obydwaj udali się do dowódcy sąsiedniego baonu 3-go pułku. O ile zdążyłem się dowiedzieć, szykuje się na jakąś wyprawę.

Zaledwie wyszedł kapitan Tomaszewski, słyszę głos posterunku, pakującego głowę przez drzwi:

— Panie poruczniku, pancerka znowu bije!

Wychodzę na dwór. Noc ciemna, zawiana ciężkiemi chmurami, głucha i ponura w tem pustkowiu ruin i okopów.

— Skąd bije?

— O, z lasu, od Zalesia. Dwa granaty puściła, a przedtem, jak ten kapitan przyjechał na „piecu“ — to biła dobrze kilkanaście razy...

— Nic w ziemiance nie słychać...

— O, dyć głęboko w ziemi, w gruncie „ziemianka“ leży — tłómaczy mi posterunek — to nie słychać, jak na ten „piec“ kapitana, co przyjechał...

— Jaki „piec“, chłopie?

— No, ady od pociągu piec.

— Na lokomotywę chyba?

— A jakże! Bili ze sześć razy. Jedna granata, to ino tuż, tuż wedle kapitana się rozerwała — ale on nic. Zaklon tylko i szedł dalej.

— A coś ty chciał? Dęba miał kroić?...

— Nie, panie poruczniku, — ino ze śtabu, to przecie nienawykłe. Zawdy tam oni na mapach ino wojują — pokpiwa mój rekrut, który już zaczyna z lekceważeniem odzywać się o tych, których niema na pierwszej linji...

Po kilku dniach, w chłodnych wietrznych godzinach porannych odwiedził nasz odcinek dowódca 1-ej Dywizji generał Śmigły-Rydz.



Dowódcy kompanji, poustawiani na skrzydłach swej kompanji, ze strony, z której ma nadejść generał — subalterni przy swych plutonach.

Dość długo oczekiwałem swojej kolejki, wypatrując z dachu betonowego schronu nadchodzących sztabowców. Dopiero po dobrej godzinie ujrzałem czerwieniejące jakieś czapki i domyśliłem się, że już generał nadchodzi.

Wyprężony na baczność stoi se człek a monituje z góry, by gładko i ostro, jak przystało na starego leguna, zameldował się—bez zająkiwań i długich ceregieli bąkania...

Na zakręcie okopów ukazał się generał ze sznurem oficerów. W płaszczu, w imponujących buljonach generalskich, bez zarostu — zmienił się do niepoznania.

Niktby w nim nie rozpoznał tego dawnego legjonowego Śmigłego z pod Kostjuchnówki, kiedy to „obywatel podpułkownik“ chadzał ze szpicrutą wśród okopów, bez żadnych odznak zewnętrznych, ni obywatela pułkownika z przed roku, kiedy to w Krakowie po zaaresztowaniu Komendanta — Śmigły w zastępstwie dzisiejszego Naczelnego Wodza — Polską organizację Wojskową, jedyny wyraz militarnej Polski — w twardych swych rękach trzymał.

Zbliżał się teraz świetny generał, pierwszy z woli Niepodległej Polski, dowódca legjonowej Dywizji, spadkobierczyni 1-szej brygady Komendanta, równym, spokojnym, pewnym siebie krokiem.

Wyrecytowałem generałowi meldunek: Kompanja 9-a ludzi tylu a tylu... i trzasnąwszy obcasami, witam się z całym sznurem adjutantów. Jest Borek, stary piątak, kapitan sztabu, Szczapa i inni...

Po obejrzeniu całego odcinka generał, który dobre kilka kilometrów musiał przejść, aby obejrzeć cały odcinek baonu, siadł na jakimś płaskim dachu ziemianki i otoczony wieńcem oficerów rozpoczął pogawędkę. Rozpowiadamy o naszym młodym żołnierzu, który coraz bardziej zaczyna tracić swoje pokractwo rekruckie, o nabieraniu przezeń z dnia na dzień zadzierżystości „legunowej“, wychowywanej w ogniu i trudzie bitewnym...

Generał, ze swym dobrotliwym, przyjacielskim uśmiechem wsłuchuje się w te opowiadania, wtrącając od czasu do czasu zapytania...

Nie czuje się, nie widzi tutaj najmniejszego rozdźwięku między najwyższym dowódcą oddziału a najniższym z oficerów, — odczuwa się tę serdeczną nić, jaka tylko wiązać może ludzi, którzy jednemu i temu samemu ideałowi duszą całą od lat wielu mężnie służą.








Wódz Naczelny wśród ruin Smorgońskich.

Długie dwa tygodnie siedzieliśmy w smorgońskich okopach. Kompanje co kilka dni zmieniały się na pozycji; jedne szły do rezerwy, inne zajmowały odcinki.

Bolszewicy zachowywali się najzupełniej spokojnie i prawie neutralnie — nasze patrole tylko niepokoiły ich od czasu do czasu.

Około 20 maja wiedzieliśmy już, że zanosi się na jakowąś awanturę. Bortnowski chodził nerwowemi krokami po swojej izbie bataljonowej, myślał, kombinował, liczył — wreszcie siadł do pociągu, pojechał do Wilna i w trzy dni wrócił stamtąd z całym bataljonem pierwszego pułku piechoty.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że uderzamy 3 baonami, by rozbić ostatecznie resztki 17-ej dywizji bolszewickiej.

Zabawa w wojnę — owe od czasu do czasu lekkie patrolowanie — miało się skończyć jakimś porządnym wypadem.

Dzień 26 maja tego roku będzie pamiętnym dla młodego żołnierza 3-go baonu 5-go p. p. Leg. W tym bowiem dniu, po raz pierwszy, niedawni cywile, od dwóch zaledwie miesięcy żołnierze, szli do ataku na bagnety.

Bagnet w ręku — pochylony karabin i ten potężny, mocny krzyk, huczący w nocy jak burza, to szturmowe „hura", pozostawia niezatarte wrażenie na młodym żołnierzu.

Wieczorem 25 maja zebrał Chilewski (Bortnowski, jako najstarszy kapitan objął całą grupę) dowódców kompanji i po krótkiej odprawie — powyznaczał punkty uderzenia.

Kompanja moja otrzymała rozkaz uderzenia na wieś Szutowicze, co stanowiło tylko cząstkę akcji, przedsiębranej przez grupę kpt. Bortnowskiego. Kompanja 12 uderzała na Bajby — 11 w rezerwie.

Uderzyć mieliśmy o drugiej w nocy, starając się zaskoczyć przeciwnika, to też wiedząc z uprzednich patroli, gdzie bolszewicy mają swoje placówki, postanowiłem je ominąć, prześlizgnąć się niepostrzeżenie i znagła wpaść do wsi z krzykiem wielkim.

Nimżeśmy się rozwinęli, cała kompanja została powiadomiona o swojem zadaniu:

Pamiętajcie chłopaki — pouczałem w ciszy nocnej kompanję — że jak pójdziecie odrazu z kopyta, z dużym krzykiem a wrzaskiem, to wygrana nasza — jeżeli się jednak tylko zawahacie, spiorą nas maszynkami, że ani jeden nie wróci. Tylko siup — naprzód!...

Chłopaki zrozumieli. O 1-ej w nocy, przy bladem świetle gwiazd posuwałem się w ciszy zupełnej, ciasną tyraljerą dwoma plutonami, z jednym zaś plutonem i maszynkami w rezerwie; starałem się tak manewrować, żeby się można było przecisnąć między dwoma małemi gaikami, gdzie bolszewicy mieli placówki.

Podejście się udało, ciche i śpiące widocznie gaiki przeszliśmy żwawo i zaraz za linją placówek, rozsunąwszy nieco plutony, zacząłem posuwać się z kompanją szybciej, by punkt na 2-gą w nocy zdążyć.

Szeleściła cicho pod nogami murawa. W pewnej chwili zaciemniała przed nami czarna masa chałup. Serca zabiły...



Nagle spokojną, cichą noc, rozdarły błyski. Zatrzepotały się łyskotliwą linją, tuż prawie pod nogami, zatrajkotały, rozwściekły się maszynki. Moment, jedna chwila!...

Poprzez trzask ognia, przedarł się krzyk:

— Chłopcy, naprzód!

— Hurra!...

Jak burza plutony porwały się w ulicę wiejską. W jednej chwili chłopcy instynktownie odczuli, że tylko się uratują przed skutkiem złowrogich błysków — tym krzykiem potężnym i biegiem.

Na łeb, na szyję! Na złamanie karku, byle prędzej wpaść z wrzaskiem do wsi!...

W pół minuty przebiegliśmy dystans, dzielący nas od okopów. Jeden pluton w myśl dyspozycyj uprzednich wpadł na drogę, prowadzącą przez środek wsi. Dwa inne, po bokach, wzdłuż... Pędzimy naprzód. Krzyk, wrzawa! Co chwila wydziera się potężne „hura!" W ciemnościach błyski po błysku. Z za chałup razi ogień...

— Granatami!...

Rozjęczały się odłamki, słupy białych dymków powzbijały się z czarnej ziemi i znów krzyk: — Chłopcy naprzód!...

W przeciągu dziesięciu, piętnastu minut przebiegliśmy wieś. Rezerwowe sekcje wywlekają jeńców, oficerów, ściągają karabiny maszynowe z okopów, z ciepłych jeszcze miejsc, wyprowadzają konie i wozy...

W piętnaście minut po szturmie, w szarym, bielejącym świecie, zbiórka kompanji w ordynku! Jedna komenda i rozgrzana, rozhukana kompanja, pręży się w sznur.

— Linja tyraljerska!...

W porządku już, rozwijają się plutony na Sukniewicze, Pierebranowicze i Bajby. Z trzech stron niezajęte jeszcze wsie, z trzech stron może w każdej chwili wyjść kontr-atak!

Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy gwałtowny ogień od strony Bajb — który wnet ucichł. To Józek Drotlef wziął Bajby...

Tymczasem spodziewany kontr-atak nastąpił! W pół godziny zaledwie z Pierebranowicz ruszyła ku nam pierwsza fala. Pacać poczęły nasze manlichery w odpowiedzi na wysoki jazgot maszynek i ognia karabinowego przeraźliwy błysk i trzask. Rozgruchotała się gwałtownym ogniem tyraljera, bić poczęły „maszynki" nasze i po niedługiej chwili kontr-

atak był w zupełności odparty i stłoczony z powrotem do Pierebranowicz.

Trop w trop za nimi posuwam kompanię.

Tymczasem gdy lewe skrzydło doszło do Sukniewicz, wyszedł na nie stamtąd drugi, gwałtowny kont-atak. Wypadła na bagnety kolumna bolszewicka ze wsi, ze środka drogi. Zepchnęli trzeci pluton wtył, po krótkiej walce na bagnety i zaczęli się szybko, spiesznie rozwijać... Lecz już prawe skrzydło kompanji podprowadził Grzyb im na boki i tyły i siec poczyna „maszynką". W bezładzie natychmiast się cofnęli.

Drugi kontr-atak został odparty.

Tymczasem dzień się już uczynił zupełny, słońce wstało. Zewsząd ze stron wszystkich rwie ogień karabinowy, burzy się i gotuje, jak war w garnku, po laskach, łąkach i zaroślach.

Wysoko stało słońce. Ze wszystkich prawie stron dochodziły odgłosy walki — a o godz. 5 rano usłyszeliśmy gwałtowny ogień zrywający się hen, na przodzie, — a więc już na tyłach bolszewickich.

Koło widocznie zostało zamknięte — a bolszewicy osaczeni ze wszystkich stron.

— Podciągam kompanię ku Pierebranowiczom, jako ostatniemu punktowi, który miałem wedle otrzymanych dyspozycyj zająć. Wraca 3 pluton, który przy drugim kontrataku wpadł na ową kolumnę bolszewicką, i przynosi mi wiadomość o zranieniu Julka Neumarka. Klnę na czem świat stoi — i czekam dalszych rozkazów, wysyłając tymczasem meldunek za meldunkiem.

Bolszewików wokół ani śladu. Na lewo, ze wsi wzdłuż toru kolejowego wysuwają się jakoweś długie tyraljery, które poznaję po błyszczących kociołkach, iż są nasze — z prawej strony, również widać w perspektywie zamglonych rannymi oparami łąk — dźwigające się powoli łańcuchy tyraljer. Posyłam tam natychmiast łącznika i wkrótce otrzymuję meldunek, że to 12 kompanja po wzięciu Bajb posuwa się dalej na Zarudicze w myśl dyspozycji.

Czekam więc w Pierebranowiczach, gdzie miałem rozkaz zatrzymać się aż do otrzymania dalszych rozkazów.

Gdzieś, koło 6-ej rano wpada przed chałupę, obok której rozłożyła się kompanja, ułan z rozkazem maszerowania wzdłuż traktu Mołodeczańskiego na wieś Ponizje, Janiewicze i Kaskiewicze. Z rozkazów dowiaduję się, że akcja w zupełności osiągnęła swój cel i że zajmujemy nowe pozycje, by wydostać się wreszcie z tego obrzydliwego pasa starych okopów niemieckich.



Zbiórka. Kompanja zmordowana, wymęczona szturmem i kontratakami, w świetnym jednakowoż jest humorze.

Przy samym szturmie trzech tylko lekko zostało rannych — gorzej natomiast wyszedł trzeci pluton, który wlazł w Sukniewiczach na 151 pułk. Ranny ciężko Julek Neumark, kilku poharatanych bagnetami, kilku zagarnęli ze sobą bolszewicy — strat jest więc nawet sporo. Jednakowoż kompanja jest w pysznym nastroju — zadowoleni są chłopcy z tego szturmu, który im tak łatwo przyszedł, i szczęśliwi, że cało z niego wyszli. Obłowili się pozatem machorką, butami i tytoniem — gdyż „krasnoarmiejcy" nic nie zdążyli ze sobą zabrać uciekając wprost w bieliźnie; cała droga w Szutowiczach usłana była czapkami, kapotami, płaszczami i butami. Wyobrażam sobie ich przerażenie, gdy nagle w ciszy nocnej, po krótkim, kilkunastosekundowym zaledwie ogniu — usłyszeli tuż, tuż — pod oknami i we drzwiach swych izb — potężne, zuchwałe, szturmowe: hurra!

To też umykali przez płoty, okna, pola i zagony. Oficerowie prawie wszyscy zostali, gdyż jeden tylko zdołał umknąć. Konie wyprowadzone na gwałt ze stajni, pozostawione między opłotkami, z narzuconemi tylko siodłami, gdyż nie zdążyli je nawet sprzęgować. Karabiny maszynowe, kuchnia żołnierska, wozy bataljonowe, konie, siano zgromadzone, mnóstwo szabel i karabinów, aparaty telefoniczne, kancelarje bataljonowe i kompanijne — wszystko zostało na łasce losu, na łup zwycięzcom.

Z oficerów wziętych mam „towariszcza-komandira I-ago bataljona 146 połka", „komandira pulemiotnoj komandy" i kilku pomniejszych wraz z „komisarom" — oficerowie z wyjątkiem tego, który uciekł „bywszije russkije oficery", którzy nawet bocznej broni nie posiadali, gdyż „naczalstwo" najzupełniej im nie ufało. To też jak najchętniej oddali się do niewoli.

Ze zdobycznych koni jest kilka wierzchowców, to też maszerujemy do owych Ponizji, conajmniej jak bataljon, gdyż każdy z oficerów na czele plutonu pyszni się na bolszewickiej szkapie.

Po drodze do Ponizji spotykam Chilewskiego z adjutantem. Po wysłuchaniu meldunku, daje mi rozkaz czekania narazie w Bajbach aż do dalszych rozkazów.

W Bajbach zostawiam kompanię w cieniu ogromnych lip cmentarza kościelnego, a sam siadam na zdobyczną, śliczną klacz i gnam ostrym kłusem ku smorgońskiemu laskowi, gdzie Julka odwieziono, aby się dowiedzieć, jaka jest rana. Chłopcy nic mi nie mogą powiedzieć — to tylko, że podobno w brzuch.

Jadę więc mimo wściekłego upału bez wytchnienia i w niecałą godzinę wpadam do dowództwa baonu. Tam się dowiaduję, że Julka już odtransportowano na pociąg sanitarny, który przed chwilą odjechał z rannymi do Wilna.

Siadam więc z powrotem i gnam na zmianę kłusem i galopem do kompanji, obawiając się nadejścia nowych nieprzewidzianych rozkazów.

W Bajbach kompanji nie zastałem. Łącznik pozostawiony zameldował mi, że ppor. Grzyb dostał rozkaz zajęcia Ponizji, do którego przed pół godziną kompanja odmaszerowała. Gonię więc chłopców dalej.

Zapadł zmierzch, okolica pełna łąk, głośnych zagajników, szumnych od ptactwa lasków. Wokół roznosi się grzechot swarliwy żab—ogromna tarcza słoneczna krwawym rąbkiem wygląda z poza sinego pasma dalekiego lasu. Zwalniam kłusa — i noga za nogą, w ciszy zapadającego wieczoru wjeżdżam do rozgwarzonych pełnych żołnierzy Poniz i.

W kilka dni po zajęciu nowych pozycyj dowiedzieliśmy się dopiero o szczegółach i wyniku całej akcji, skierowanej ku zgubie 17 dywizji. Atak na Zalesie, mający na celu okrążenie tej dywizji, udał się w zupełności. Już w 3 godziny po rozpoczęciu ogólnego ataku — obręcz została zamknięta i wszystko prawie dostało się w nasze ręce. Dwa działa, porzucone tuż za mostem na Wilji, kilkuset jeńców, kilkunastu oficerów, karabiny maszynowe, konie, tabory, broń kilku pułków wpadły w nasze ręce przy minimalnych prawie stratach.

Akcja powiodła się wyśmienicie, nietylko dzięki szczegółowym i przewidującym rozkazom Bortnowskiego, lecz również w dużej mierze t. zw. „warjatowi"...

„Warjat"—to nasz telefon podsłuchowy. Mówił nam wszystko, wybrzękiwał każde „albo" krasnoarmiejskich „towariszczej-komandirow", objaśniał nas znakomicie o każdym patrolu, wysłanym przez bolszewików.



Stworzono „warjata" bardzo prostym sposobem i narodziny jego przywitano z powszechną radością. Sposób był niewyszukanie prosty i rozbrajająco naiwny. Któryś z telefonistów, bodaj ze sztabu, macher od łączności, wpadł na pomysł, by doczepić swój aparat do drutów telegraficznych, idących wzdłuż toru kolejowego, który w pewnem miejscu przecinała linja pozycji, przypuszczając, że drutami owemi posługują się bolszewicy, wyzyskujący połączenie pozycji z Mołodecznem za pomocą drutów telegraficznych.

Przypuszczenie było trafne. Zaledwie złączono druty — odezwały się brzęki aparatów. „Towariszczy-komandiry" rozmawiali...

Zasiadł więc podoficer do stołu i co jakiś czas przynosił Bortnowskiemu wynotowane wszystkie rozmowy. Dowiadywaliśmy się więc dokładnie o wszystkich zmianach bolszewickich, o tem, gdzie i jakie „roty" się zmieniają, o tem, dokąd i kiedy wyrusza jaki silniejszy patrol bolszewicki, który zresztą nigdy nie dochodził do naszych okopów...

W dzień więc ataku na Zalesie uwaga specjalnie została zwróconą na „warjata", który tego dnia, jak każdego zresztą innego, głosił, że bolszewicy spodziewają się tej nocy napewno „nastuplenja palakow".

Gdy tylko więc pierwsze strzały się odezwały, chwycił za słuchawkę „warjata" sam Bortnowski. Ordynansi konni stali przy osiodłanych koniach, gotowi każdej chwili gnać z rozkazami.

Po pierwszych zaraz strzałach aparat zaczyna brzęczeć. „Warjat" raportuje o pierwszym meldunku bolszewickim.

— Allo! Towariszcz-komandir połka!..

— Allo, zdieś komandir połka!..

— Towariszcz komandir — podaje zadyszane wiadomości „warjat"—palaki nastupajut... Idut na zastawu wozle rieki...

— Niczewo! Polskaja razwiedka idiot, a wam każetsia, czto uże nastupajut. Łożitieś spat' spokojno!..

Bortnowski nie odejmuje słuchawki. Oczekuje meldunków rosyjskich, gdyż z nich dowie się o sytuacji, bowiem atakujące kompanje aparatów ze sobą nie wzięły, a na mel-

dunki pisemne niebardzo można liczyć wobec przypuszczalnego błyskawicznego tempa akcji.

Czeka więc z bijącem sercem na meldunki niezastąpionego „warjata".

Noc była cicha, ciepła gwiaździsta. Wysoki sosnowy bór w lekkim, głębokim poszumie zginał korony drzew...

Na drugą godzinę rano naznaczony ogólny atak. Te gęste strzały, to pierwsze starcie patroli na placówce przy Wilji, atakowanej umyślnie dla odwrócenia uwagi...

Około 2-ej gwiazdy jedna po drugiej poczęły blednąć— wierzchołkami sosen przeciągnął rzeźwy, poranny wiew... Zbliżała się chwila ataku...

„Warjat" milczał. Na linji rosyjskiej spokój i cisza zupełna. Strzelanina na Wilję została przez dowódcę bolszewickiego pułku zakwalifikowana do rzędu nic nie znaczących „pierestrełok" patroli.

Równo o 2-ej buchnęły naraz w ciszy nocnej gęste, gwałtowne strzały, które w jednej chwili zlały się w jeden burzliwy potok karabinowego ognia. Atak się rozpoczął...

„Warjat" milczał. Jakby przerażony i zdumiony tą nagłą gwałtowną strzelaniną, która zerwała się w ciszy nocnej i rozlała w jednym momencie gdyby wzburzona, spieniona rzeka—ścichł i jakby się skrył.

Po pewnej jednak chwili posypały się gorączkowe, śpieszne, zemocjowane meldunki i pytania. Brzęczek ciągle był w ruchu. Przez linję — jak przez nerw ludzki przebiegały wszystkie drgnienia bitwy, gwałtowne zapamiętałe bulgotanie karabinowego ognia. Gorączkowy war bitewny przelatywał przez cienkie druty telefoniczne niby wartka pulsująca krew po tętnicy człowieka, gnanego furją i gniewem...

Sypały się meldunki...

— Derewnia Szutowiczy wziata polakami.. Bajby toże... nastuplenie protiwnika wiezdie...

Po chwili ścigały strach i gwałtowne przerażenie szybkie rozkazy: „Kontrataka na Szutowiczy... Sju minutu"...

Bortnowski nie potrzebował własnych meldunków. „Warjat" spełniał swą rolę przecudownie. Od czasu do czasu, gdy ważniejszy meldunek niosły druty, kapitan oddawał słuchawkę podoficerowi, a sam na kolanie śpiesznie pisał na bloku rozkazy...



Dzień był już zupełny. Ze wszystkich stron kilkokilometrowego frontu dochodził ciągle gwałtowny ogień. W pewnym momencie „warjat" zaczął gwałtownie brzęczeć...

Odzywało się dowództwo brygady...

— Allo, allo batareja!...

— Allo,—zdieś batareja...

— Udirajtie siejczas. Polaki uże u was pazadi...

— Eto ja znaju. No kuda udirat'?

— Wsio rawno! Kuda głaza poniesut!...

„Warjat" zamilkł. Bortnowski pchnął nowe rozkazy, by natychmiast rozpocząć gwałtowny pościg.

Rezultatem tego było, że batareja wpadła w nasze ręce...

Po rozbiciu ostatecznem smorgońskiej grupy bolszewickiej i po zajęciu nowych pozycyj mieliśmy jeszcze kilka tylko dni „warjata". Dowiadywaliśmy się odeń, jak niesłychanie podenerwowani byli bolszewiccy oficerowie, jak ciągle przypominali, by „nie pierespat ataki" jak pod Szutowiczami i Bajbami...

---



Smorgonie. Wódz Naczelny ogląda stare okopy niemieckie.

Inny się przed nami roztoczył kraj z chwilą, kiedyśmy przeszli złowrogą linję okopów niemieckich. Wsie naokół ludne, bogate, pełne bydła, koni i ptastwa, — wokół gwar, radość życia i wiosny, kipiąca z pól, pełnych oraczy wiosennych, poryku krów, pastuszych piosnek.

Zostawiliśmy poza sobą milczący, strupieszały, złowrogi pas, wyniszczony okrutnie zbójecka gospodarką niemiecką i weszliśmy na teren, gdzie ludność nietylko zastaliśmy w przedwojennych prawie warunkach, lecz zbogaconą dostawami do pobliskich okopów, suto obłowioną z tych czasów, kiedy miljonowa zrewoltowana armja rosyjska porzucała okopy, wracając do domów, pozostawiając na łasce losów olbrzymie bogactwa armji.

To też wszystkie wokół wsie, każdy gospodarz ma konie wojskowe, rosłe, wypasione, silne...

Roztoczył się przed nami kraj z gęsto porozrzucanemi wioskami, zasobny, bogaty niemal, cały skąpany w krasie wiosny, która tu dopiero pod koniec maja obsypała drzewa licznem kwieciem.

Kontakt z nieprzyjacielem został szybko nawiązany Bolszewicy, którzy w pierwszym, panicznym popłochu oparli się dopiero aż w Mołodecznie, ochłonęli nieco i drugiego dopiero dnia poczęli nieśmiało patrolami posuwać się naprzód. To tu, to tam zaplatał się jakiś patrol „burków". tu i ówdzie popukały nieco placówki. Naogół jednak zapanował zupełny prawie spokój. „Krasnoarmiejcy" są nazbyt ostrożni i patrolują tak lekko, że dopaść ich ogniem można tylko wtedy, kiedy się wpadnie znagła, z krzykiem wielkim do ich okopów...

Zajęliśmy więc nowe odcinki. Chilewski, w zastępstwie dowódca naszego baonu, rządnie, po gospodarsku, sprawiedliwie porozdzielał „kawałki"...

Każdej kompanji dostała się wieś, i to wieś faktyczna, z chałupami, mlekiem a masłem, z ogrodami i wcale ładnemi Białorusinkami — a nie, jak dotąd, na mapie tylko figurująca.

Rozstawiło się więc migiem placówki, łączność ponawiązywało i, z dnia na dzień nieco się umacniając, niezgorzej się „wiara" poczuła na nowym terenie.

Rozglądamy się ciekawie po okolicy, staramy się zorjentować w innych już nieco stosunkach. Każdy z dowódców kompanji, siedząc na jakowejś Tańszczyźnie czy innych Daubudziskach lub Goreńjatach, rozpatruje, nad kim to on rządy sprawować będzie.

Wspomniałem już o owem nadzwyczajnem i nieoczekiwanem nawet przyjęciu, jakiego doznawaliśmy w ciągu naszego szybkiego, zwycięskiego marszu od Wilna ku Smorgoniom. Radowało się wówczas żołnierskie serce i ochotniej nogi w marszu ponosiły okryte kurzem kolumny piechoty...

Tak było niemal do samych zwalisk koło Smorgoń. Mniej-więcej od tej linji wchodzimy w pas kraju, już nie tak przychylnie nastrojonego, a miejscami nawet już wręcz wrogiego.

Poza linją Smorgoń zaczynają się już wsie prawosławne. Wsie wokół tego miasta jeszcze są białoruskie-katolickie



i ludność w tych wsiach wybitnie ku nam ciąży. Pamiętają tam oni doskonale mroczne lata moskiewskiego ucisku, pozatem z katolicką, polską książką do nabożeństwa wiąże się tutaj silnie, jak wogóle na wschodnich kresach Polski, poczucie polskości.

Lecz już o kilkanaście zaledwie klm. na wschód od „akademji Smorgońskiej" zaczyna się pas wsi, gdzie wybitnie przeważają chłopi Białorusini — prawosławni.

Charakterystycznym jest niezmiernie tutaj ów rozdział, stworzony przez wyznanie religijne. O ile chłopi białoruscy katolicy ciążą ku Polsce, o tyle białorusini prawosławni rusyfikują się do tego stopnia, że nawet to odbija się na ich mowie. Chłopi prawosławni są to przeważnie już moskale, straceni nawet dla narodu Białoruskiego.

Zdarzają się pośród nich często-gęsto nazwiska o świetnem polskiem brzmieniu — niezatarty ślad kroków Polski dawnej.

Zdarza się to tu, to tam, że matka jeszcze z polskiej książki się modli, a dzieci, przemocą w moskiewskiej wierze chowane — z rosyjskiej; rodzice pamięć żywą o Polsce chowają, a dzieci po polsku słowa nie umieją.

Ślad to moskiewskiej, dławiącej polskość ręki.

To też i nastrój tutaj jest zupełnie inny — nie ten, radośnie witający, jaki nas spotykał w przemarszach od Wilna.

Wsie, z małemi wyjątkami, nastrojone wrogo. Nie dopytasz się tu o nic chłopa, nie doznasz dobrego słowa. Lęk jakiś, a za nim się czai złe spojrzenie i czuje się w oczach pytanie: „Po szczo wy tu pryszły"?... Mamy tutaj kilka takich wsi. Prym trzyma Siwica. Między pozycjami szeroko rozsiadła się wieś, jasno-żółtemi dachówkami błyszcząca, dopiero co wybudowana po klęsce dawnych walk pod Mołodecznem. Wieś wroga, nieprzyjazna, zła. Wyczuwa się w niej podstęp, ściszoną zdradę...

Kilku już ludzi nam „wsiąkło" dzięki tej wsi. Znany w starym 5 pułku, w jego 1 baonie „mały Majuś", podchorąży Pacholski, drugiego zaraz dnia po zajęciu tych pozycyj, otoczony z patrolem w Jakowicach, dostaje się ranny do niewoli. Innego dnia znowu dwóch wpada, którzy przez „neutralną" niby Siwicę patrolowali na szpicy...

Wiara klnie, odgraża się i czeka jeszcze jednego wypadku, dowodu pewnego, by z Siwicy uderzył w niebo błękitno-czarny słup dymu.

Twarde wojenne prawo litości nie zna.

Naogół gęsto rozłożone, porozrzucane pośród lasów, bagien, wzgórz i dolin zamożne, bogate wsie — wszystkie prawie w tym pasie nastrojone są ku nam wrogo, nieprzyjaźnie.

Na południe od Wilji, tuż pod Smorgoniami, rozpoczyna się pas wysokich wzgórz, uwieńczonych dębowemi gajami, dolin, porżniętych strumykami, do złudzenia przypominający naszą cudną Sandomierszczyznę. Gdy wpadnie się w jakowy parów, jar, znagła, stromo ścięty, z pośród tarniny gęstwin wychodząc, zda się, iż odezwie się oto najczystszy polskiej mowy dźwięk, że ujrzy się wybiegającą Jagnę czy Marysię z bydłem do strumienia...

Wzgórza, pagórki leśne, jary i dolinki litewskie, tak niezmiernie i serdecznie podobne do naszych sandomierskich okolic — to jednak złudzenie...

W dolinach inne wsie, inni ludzie, inna mowa... Zaczyna się tutaj dopiero pierwsza linja, wczesna oznaka stosunków wrogich, nieprzyjazny próg innego, obcego duchem, językiem, wiarą kraju.

Tuż poza pasem naszych pozycyj, tuż za Ponizjem, Zarudiczami, Kaskiewiczami, w okolicach zajętych przez polskie oddziały, bije już inny życia puls. Roznosi się radosny, przyjazny śmiech, tańczą na weseliskach ułany. Zaś między nami — chwyta się ponure spojrzenia co dnia zganianych chłopów, usiłujących przedostać się do bolszewików.

A w pośród tych prawosławnych, wrogich wsi, porozrzucane w wielkiej ilości, zdjęte tęsknotą ku nam lub rozradowane wolnością, czepiają się parowów, dębowych gajów, wzgórz i dolin polskie, szlacheckie zaścianki Bujwidów, Żebrowskich, Bogorja-Sielickich, Hryniewiczów...

Kwaterę mam we dworku ongi szlacheckim, skonfiskowanym zapewnie po powstaniu 63 roku, gdyż ostatnim właścicielem był moskal — generał rosyjski.

W poniszczonych przez lata wojny, w poobdzieranych pokojach dworku gnieżdżą się jacyś wygnańcy, jakaś okrutna nędza o sinych obrzękłych twarzach, karmiąca się pokrzywą od miesięcy. W zapadłych wybladłych oczach tai się jeszcze wspomnienie własnej schludnej chałupy, zagrody czy gospodarstwa — gdzieś, w dniach srogich bojów, w huku i trzasku ognia starganych dawno, dawno granatami, puszczonych z dymem przez jakichś ludzi, z krzykiem do wsi wpadających...

W miejscach, gdzie człowiek pracowitym, codziennym potem i zabiegami tworzył siedzibę, gdzie wtulał się w głośny, głęboki poszum borów z niską chałupą białoruską — w miejscu tem jakowiś ludzie, kopiąc, ryjąc ziemię Bożą, targając jej wnętrzności tysiącami łopat i kilofów — wycięli murem stojący niegdyś las, zdmuchnęli świstem i skowytem granatów strzechy i zapłocia, poburzyli okrutnie i bez litości owoce trudów wieloletnich i poranili litewską ziemię długiemi, martwemi rzutami okopów...

Na nic się zdało rozpaczne rąk łamanie dziki skowyt chłopskiego serca, niby przegnanego z domu psa...

Gnieździ się takich rodzin we dworku kilkanaście. W każdej izdebce, w każdym pokoiku włóczą się jakieś łachmany i cienie. Jakieś dwie żydówki, matka i córka, sam Bóg wie, skąd tutaj przybyłe, wiecznie szwagoczące i często-gęsto wśród nieopisanego wrzasku włóczące się za włosy w passji i bójce po izbie...

Zajęliśmy ową kwaterę. Wielki, jasny pokój, uprzątnięty w mig, doprowadzono jako tako do porządku. Tapczany oficerskie, kancelaryjny stół, szef sierżant, telefoniści i dowództwo kompanji piorunem zostało zakwaterowane...

Po awanturach ostatnich cisza i spokój zapanowały na naszym odcinku. Bolszewicy od czasu do czasu zlekka się tylko posuwali, nigdy jednakowoż nie zaszli bliżej pod okopy placówek, by można ich było wziąć pod szybki a skuteczny ogień.

Wogóle prowadzenie przez nich wojny jest arcywesołe. W rzadkich tylko wypadkach podsuwają się na odległość celownika — przeważnie jednak tak się umiejscawiają, że dosięgnąć ich można tylko artylerją.

Bataljon nasz, który do tej pory miał stałe szczęście (tfu, na psa urok) posuwać się wzdłuż toru i wojować z pancerką, odbił teraz dość mocno na południe, tak, że tylko lewem skrzydłem zlekka dotykał toru. Pancerka więc produkowała się teraz przed 1-ym pułkiem, którego bataljon łączył z nami na lewo.

Podjeżdżała i teraz co dnia i bawiła się ogniem artyteryjskim z naszemi baterjami lub tłukła na okopy. Przekli-

nana i złorzeczona przez „legunów“ doczekała się jednak swego smutnego końca...

Któregoś dnia przysłał gen. Śmigły swego oficera od saperów, który z silnym patrolem ruszył wzdłuż toru, pod osłoną nocy, by mniej więcej w tem miejscu, do którego pancerka codziennie się zbliża, założyć miny.

Z wielkiemi więc ceregielami, jak ongi Kmicic kolubrynie, podłożono pod tor dwie kichy, solidnie ekrazytem wypchane i saperskiemi sztuczkami tak skombinowane, że jedna z nich miała rozwalić lokomotywę — inna następny wagon.

Oczekiwano ze zrozumiałą emocją wyniku wizyty „broniewika“ następnego dnia. Plan się niespodziewanie (bowiem normalnie kończą się one fiaskiem) dobrze udał. Za miotłą krwawych płomieni runął ogromny huk, lecący po lasach jak grom...

Pancerka miała dość...

Następnego dnia wyruszyła pancerka nasza „Śmiały-Szeroki“ pod osłoną silnych patroli, by skonstatować skutki zasadzki. Znaleźli wagony okrutnie pocharatane, bowiem do wybuchu przyłączyła się jeszcze własna piroksylina pancerki bolszewickiej, zdemontowane dwa działa i osiem karabinów maszynowych. Lokomotywy jednak nie znaleźli, gdyż wskutek jakowegoś „pecha“ nabój dynamitowy wybuchł tylko jeden, pod wagonami, tak, że lokomotywę zdążyli bolszewicy uprowadzić ze sobą...

Od tego jednak czasu okopy miały spokój — druga pancerka, jaka nadal krążyła po torze — nie ośmielała się już wysuwać poza pas własnych okopów...

Pozatem czas, przerywany tylko patrolami z jednej i drugiej strony płynął monotonnie na wydawaniu przepustek ludności miejscowej, na „pokerze“ i od czasu do czasu urozmaicany jakowemiś tańcami, które żołnierze co niedzielę urządzali na werandzie dworku, dla różnych kraśnych Białorusinek.

Pozatem przez cały prawie czerwiec drutowaliśmy się. Ze stacji Zalesia całe sznury podwód chłopskich zwoziły druty najrozmaitszego rodzaju, gatunku i kalibru. Stale jakiś pluton tłukł się między wzgórzami, wśród sfalowanych zbóż, owsów i zielonych płatów kartoflisk i rozciągał pracowicie rdzawe zwoje drutów kolczastych. W krótkim czasie wyrósł nowy, krwawo-bronzowy pas drutów wzdłuż całej nowej pozycji. Była to prawie jedyna możność ufortyfikowania terenu, bowiem każda z kompanij zajmowała po kilka kilometrów odcinka i w żaden sposób nie mogła go inaczej obsadzić, jak tylko placówkami. O stałej linji okopów mowy nie było — więc maskowaliśmy ją owemi pasmami drutów.



Zresztą o atakach bolszewickich jakoś nic słychać nie było — akcji bojowej prócz codziennych stałych patroli nie przeprowadzało się żadnej.

Któregoś późnego wieczora, gdy nad smorgońskiemi ruinami białego kościoła wzniósł się spokojny, wiecznie ten sam od wieków księżyc, jasną poświatą srebrząc pola — wpada do nas posterunek.

— Panie poruczniku — cosik mocno strzelają na przodzie...

W izbie dworkowej, z pozasłanianemi oknami nic prawie nie było słychać, więc posterunek, wystawiany przed kwaterą, miał stale meldować o każdym ruchu na froncie. Wychodzimy na ganek.

Jasna, przepysznie srebrna noc. Ciepły, czerwcowy wietrzyk przynosi z łąk mocne, orzeźwiające zapachy świeżo skoszonych traw i kwitnącego żyta. Przepiórki zwołują się melodyjnem, dźwięcznem wołaniem — świerszcze grają niezmordowanie swą monotonnie — dzwonną pieśń...

Nasłuchujemy...

Z przodu, gdzieś od Bienicy czy Markowa dochodzi gwałtowne bulgotanie, kipiący war strzelaniny, przerywanej od czasu do czasu głuchym łoskotem granatów...

Spoglądamy na się zdziwieni. Tak gwałtowny ogień, że zdawałoby się, iż przeprowadza ktoś jakowąś solidną akcję, o której my nic jednakowoż nie wiemy.

— Cóż to jest? Może jaki patrol wpadł do Jakowicz lub Bienicy?...

— No tak — ale przecież powiadomionoby nas...

Wracam do izby i naciskam brzęczek telefonu.

— Hallo, dwunasta! Czy to wyście posłali jaki patrol wprzód?...

— Nic podobnego! Chcieliśmy się właśnie ciebie o to samo pytać...

— Ki djabeł! Może to pierwszy pułk zaawanturował się?...

— Niemożliwe, boć ta strzelanina nawprost twego odcinka...

— Ba, o to chodzi, że ja nic nie wiem. Może to czwartaki ruszyły z boków na Kazimierowo albo Ugljany?...

— Możliwie, boć tłuką i tłuką solidnie...

— Poślę patrol do czwartaków z zapytaniem. Servus.

Strzelanina tymczasem nie słabnie. Na domiar ciemne tło horyzontu zaczynają rozdzierać krwawe błyski wystrzałów działowych. Artylerja wmieszała się również do tej awantury...

Po godzinie, gdy już ów tajemniczy ogień ścichł, wraca patrol od czwartaków z interesującym meldunkiem, że tamci również nic nie wiedzą i sami byli zaniepokojeni ową strzelaniną...

Kręcimy głowami z coraz większem zdumieniem. Dopiero dobrze nad ranem zagadka została rozwiązana.

Z Ugljan przylecieli chłopi. Z radością i zachwytem, ze śmiechem urągliwym opowiadają jak się bolszewicy pobili między sobą. Przysłali do Ugljan z Mołodeczna bataljon komunistów — prawie samych żydków. Że zaś między „krasnoarmiejcami" a „towariszczami-komunistami" specjalnie serdeczne stosunki nie panują, więc trzeba było szalonej okazji przy zmianie o jakąś kwartę mleka — by zapalczywi komuniści, traktujący pogardliwie „krasnoarmiejskij skot" nie chwycili za kolby. Od kolb — przyszło do pierwszego strzału, a później do granatów ręcznych. Jedni i drudzy poczęli się tłuc z niesłychaną zaciętością. Karabiny maszynowe, granaty ręczne i ogień piechoty trwał przez kilka godzin. Dopiero neutralna artylerja oddała kilkanaście granatów na obydwie strony i jakoś awanturę zażegnała. W samych Ugljanach chłopi widzieli kilkunastu zabitych — więc rannych musi być sporo...

Żałujemy, że nam tak w trakcie tych awantur nie dano znać. Dopieroż byłby bigos, gdyby tak na te dwie bohatersko zwalczające się grupy spadły nagle leguny z okropnym krzykiem szturmowym...

W kilka zaledwie dni po tej awanturze wewnętrznej u bolszewików, Bortnowski postanowił im zzewnątrz dać szturchańca.

Stanowczo zanadto bezczelne są te dwie armaty bolszewickie...

Tuż za Bienicą bowiem, na szosie do Mołodeczna stała półbaterja bolszewicka i stale ostrzeliwała nasze okopy. Od chłopców, którzy gęsto z tamtych stron przychodzili z wia-



domościami, wiedzieliśmy jak najdokładniej, gdzie owa półbaterja stoi.

Postanowiono więc, wobec tych wewnętrznych zamieszek bolszewickich wykorzystać ich zdenerwowanie i „zafasować" owe armatki, potłukłszy pozatem, ot tak, mimochodem nieco, krasnoarmiejców...

Któregoś dnia po tej decyzji, o której się mówiło już między oficerami, brzęczek telefonu zawołał mię do aparatu.

Odprawa w baonie, u Chilewskiego.

Do dowództwa baonu mam kilka dobrych kilometrów. Siadam więc na „Baśkę" i kłusem ostrym ruszam do baonu.

Upał. W rozedrganem od blasków promieni słonecznych powietrzu stoją drzewa jak omdlałe. Najmniejszy powiew wiatru nie przerywa tego niczem niezamąconego skwarnego czerwcowego popołudnia.

Polna droga wije się białą, jasną wstęgą wśród kwitnących zbóż.

Równy kłus „Baśki" wzbija tumany białego kurzu. Siodło skrzypi równomiernie — lekki powiew wskutek jazdy powstały chłodzi twarz...

W Bajbach i Kotach półnadzy żołnierze ukrywają się w cieniu sadów lub kąpią się przy młynie. Cisza wokół i spokój—nic nie przypomina frontu i wojny.

Lato...



Na trakcie ku Połockowi.

Na niewielkiej, jasno-zielonej łące, obok rozłożonych w wysokim gąszczu trawy taborów bataljonowych, na brzegu krętego strumyka wyleguje się grupka oficerów. Rozłożyste, stare, rozczochrane wierzby i wysokie o lepkim i wilgotnym liściu ciemno-zielone olszyny rzucają łaskawy cień na mieniącą się kwietnemi barwami jaskrów zieloną, bujną łąkę...

Spętane konie taboryckie skaczą wzdłuż strumyka, kryjąc się w cieniu drzew; szybki nurt rzeki wesoło, rześko szemrze swą jednaką zawsze pieśń biegnącej w dal wody...

Dowództwo baonu mieści się w nędznej, odrapanej chałupie, telefoniści w stodole, na klepisku zaś porozstawiali stołki kanceliści.

Oficerowie z Chilewskim na łące. Zostawiam szkapę ordynansowi i, skacząc przez strumień, staję przed „bataljonową bandą“.

Odprawa... Na pasiatym kocu rozłożone mapy „specjalki“ i wieńcem pochyleni nad niemi dowódcy kompanji i Stefan. Wesoło i gwar, rozpytywanie...

Czekamy jeszcze na któregoś z zapóźnionych i wreszcie, gdyśmy się w komplecie zebrali, każdy z nosem, utkwionym w mapę, ściszywszy gwar, zaczyna Chilewski o sytuacji.

Ołówek pilnie zakreśla odcinki, kierunek marszu i ataku, wyznacza ruchy kompanij, łączność i osłony. Na delikatnym, subtelnym rysunku map przesuwa się troskliwe oko, by zapamiętać każde nachylenie terenu, zmianę kierunku drogi, las, czy nagie pole...

— Ty, Ewka, ciągnie Chilewski — będziesz się awanturował od Ponizji. Udawał będziesz straszną wojnę, ściągał ich uwagę na siebie. Lekkie patrole poślesz wprzód na Jakowicze, aby tam narobiły hałasu...

— Dobra! Tylko uważasz — zaczyna Ewka i szybko, coraz szybciej, jak tylko on potrafi, goniąc jedno słowo za drugiem, wpada w trans rozgadania.

— Czekaj no Ewka, czekaj!... dobrotliwie a spokojnie wstrzymuje go Chilewski. Jak skończę, będziesz gadał...

— Dobra jest, tylko uważasz!...

— Sza! sztill!... odprawa do cholery — huczy adjutant, nierozłączną szpicrutą tłukąc w swe sztylpy...

— Ewka ścichł. Stefan zaś, dodawszy mu jeszcze kilka szczegółów, klaruje zadanie, jakie będzie miał Liwacz.

— O 9 odmaszerujesz na Kopane Błoto, stamtąd na Ugljany, a później już wprost na Bienicę i Markowo tak, żeby jednym plutonem zagarnąć baterję — i dokładnie, z namarszczonem czołem wyznacza linję ataku...

— Jurek Wędołkowski pójdzie na prawo od ciebie, a ty, Wacek, w rezerwie ze mną...

— A eskulap, gdzie się umieści?...

— Borkowski, ty założysz w Zagórzu punkt opatrunkowy i tam też rannych należy odsyłać...

— No ja!... dodaje adjutant — będziesz krajał pacjentów...

— Żeby tylko byli — wzdycha Borkowski...

— Cholera, pieron eskulap, łasy na krew ludzką. Będziesz jeszcze miał praktykę, nie bój się!...

— Tylko nie lataj za patrolami, a pilnuj rannych—dodaje inny...



— No, szluss — krzyczy Włodek — odprawa „fertig“...

Posypały się jeszcze pytania (na wszelki wypadek) i rozmowa stała się ogólną i hałaśliwą nad wyraz.

— Uważasz Kaziek, odkujesz się!... Bateryjka armat, sława, jak cholera, maszynki i jeńcy, coś tego panie-dzieju — jednem słowem bohaterstwo żołnierza polskiego we wszystkich pismach, dziennikach...

— W komunikacie, tego, wisz, rozkaz jak sto djabłów— trzeci bataljon 5 pułku piechoty we wspaniałem uderzeniu i t. d. tromtradrata...

— Zawrzyj gębę Włodek — krzyczy Ewka — my tu mamy ważne sprawy, a on tam zawraca głowę...

— Nie bój się, zdążysz jeszcze kopytka wyciągnąć za miłą ojczyznę — czego się spieszysz?...

— Pewnie, że więcej mam okazji, niż ty, tarnowski „morowcze“...

— O, galant z Krowodrzy, uważasz, zezłościł się! huzia, brr... drażni się adjutant.

— Nie kłóćcie się do stu djabłów! Kawa idzie!...

— Po jakiejś bataljonowej lurze rozjeżdżamy się do swoich kompanij.

Zapada cichy, czerwcowy wieczór. Krwawe słońce łuną pożaru czerwieni niebo, płomiennym blaskiem obrzucając w ciszy stojące stare, wysokie topole smorgońskiego szlaku. Na horyzoncie, w dali, na jasnem tle, niezarumienionego zorzą wschodu, płomieni się, oblana łuną, wysoka, zrujnowana wieża kościoła smorgońskiego.

Z łąk dolatuje granie derkaczy, z ogrzanych upalnym dniem błot i stawów dochodzą żabie, melodyjne rozhowory. Na zbitej, gliniastej drodze, osypanej pyłem żółtym wloką się „tielegi“ chłopskie i spacerują pod wsią żołnierze...

Na linji ciągły spokój. Od czasu do czasu tylko, gdzieś na odcinku pierwszego pułku gruchnie strzał...

Spokój letniego wieczoru ogarnął obustronnego okopy. Rozkoszne ciepło podwieczora, przecudne białe mgły, podnoszące się z łąk, rozżarzone niebo, cisza bijąca z pól zniewala do milczenia obie strony.

Piękno, uroda życia, narzucająca się z nieodpartą siłą żołnierskim duszom, odgania od nich powiew, dalekiej jakby wojny, nieznanej jakby śmierci...

Zapadła noc, gdym w ciszy wychodził z kompanją ze wsi. Krętą drogą, wśród wzgórz dochodzimy do Zagórza,

a stamtąd do Kopanego Błota. Pod wsią, pod wzgórzem rozkładam kompanję a sam z Chilewskim i adjutantem nasłuchujemy odgłosów.

Liwacz ma uderzyć o 2-ej gdy świt przenikać pocznie mrok, zaś Ewka rozpocznie wkrótce awanturowanie się z Siwicy.

Po niedługiej chwili, gdym już rozesłał ubezpieczenia odezwały się pierwsze strzały, przeciągłe, długie pacania manlicherów.

Odpowiedział im natychmiast alarmowy, rozgłośny trzask rosyjskich karabinów.

Szary świt przenikać począł nocny mrok. Gwiazdy bladły jedna po drugiej, świeży, chłodny wiew przeciągał przez pola i wzgórza...

Strzały z Jakowicz i Siwicy dolatują coraz częstsze i gorętsze. Raz po raz gruchnie głucha salwa i odpowie im natychmiast bezładny, szybki, gorączkowy ogień rosyjski...

Wyczuwa się doskonale z tej strzelaniny, iż bolszewicy zwrócili na nią całą swą uwagę, nie przypuszczając zapewne, że gdzieś stroną, w szarej nocnej pomroce, w ciszy zupełnej i skrytości posuwają się ku nim dwie kompanje, na pierwszy strzał gotowe runąć na okopy.

Tymczasem czyste do tej pory niebo poczęło się zaciągać niskiemi, ciężkiemi chmurami. Z łąk szerokich i rozległych, od Smorgoń i Sół pociągnął silny, przenikający do kości, ostry wiatr zachodni. Nagła zmiana temperatury, silny wiatr idący od przeciwnej strony, z której ma atakować Liwacz, powoduje, że zupełnie nie słyszymy strzałów, ognia, ni gwaru bitwy i napadu, mimo iż 2-ga godzina minęła i brzask, poprzedzający poranek, począł coraz pełniejszem światłem zalewać wzgórza...

Dzień już był prawie zupełny, gdy doleciały nas pierwsze odgłosy dział — to baterja już widocznie zaatakowana...

Telefoniści bezustanku wołają 10 kompanję. Strzały w Siwicy umilkły, wreszcie melduje Kotarba przez telefon, że czerwonogwardziści już z Siwicy i Jakowicz uciekli.

Widocznie im Liwacz i Wądołkowski wleźli na tyły...

Czekamy niecierpliwie na pierwszy meldunek. Po dobrej godzinie zadyszany, zgnany, zbiegany przylatuje pierwszy łącznik z meldunkiem. Kaziek melduje o zajęciu jednej ze wsi, o wziętych jeńcach. Do baterji jeczcze nie doszedł...



Po niedługiej chwili sprowadzają pierwszą grupkę rannych z 5-go mińskiego pułku.

Jak zwykle niczego się nie spodziewali, gdy naraz o szarym brzasku wpadli na ich okopy legjoniści...

Czekamy na dalsze meldunki w Kopanem Błocie, a tymczasem przysłuchujemy się opowiadaniom starych zagonowych szlachciców, na mizernych kawałkach ziemi siedzących, potomków ogni zamożnych, herbowych rodzin...



Jeńcy...

Walka o kościół w Bienicy z rządem rosyjskim, walka o język polski, odpieranie zaciekłe rusyfikacji, walka o utrzymanie polskości, jaka tu się zacięcie toczyła w każdym nieomal polskim domu, przesuwa się przed nami szeregiem barwnych, ciekawych opowiadań...

Po godzinie otrzymuje Chilewski jeszcze jeden meldunek, potem drugi i trzeci. Bienica, Markowo zajęte... kupa jeńców, kancelarja pułkowa, konie broń...

Baterji jednak nie zdążyli zająć. W ostatniej chwili, gdy już byli o kilkaset kroków od niej, w pełnym galopie, na gwałt podcięła konie i znikła na zadrzewionej drodze. Zostały tylko jaszczyki pełne amunicji...

Zostawiam kompanję we wsi a sam z Chilewskim i adjutantem, wzdłuż strumyka i krętych, urwistych parowów, ze śladami starych z 15-go jeszcze roku okopów niemieckich, dochodzimy do Bienicy.

W kilka godzin cała akcja była skończona. Kompanje z łupem cofnęły się na stare swe stanowiska, do Kotów, Ponizja, Kaskiewicz...

Na miejscu już dowiedzieliśmy się, że Bortnowski został wezwany do natychmiastowego odjazdu do Wilna. Wpadł tylko konno do Ponizja, zawiadomił Kotarbę i natychmiast odjechał. Wyjeżdża do Warszawy na kurs sztabu Generalnego.

Żałujemy „capitaneska" a najbardziej, że djabli wzięli taką szaloną okazję do pożegnalnej popijawy...

Po ostatnim wypadzie, dni poczęły się wlec monotonnie i nieciekawie. Dopiero pod koniec czerwca ruch i ożywienie zapanowało w baonie, bowiem przyjechał do Zalesia i objął dowództwo nad grupą Dąb-Biernacki, major i dowódca 5 p. piechoty legjonowej...

Ciekawi jesteśmy ogromnie jak z nami będzie wojował, gdyż przez cały czas ofensywy litewskiej chadzał tylko na bolszewików z 1-ym Hosera i II-gim Monda bataljonem. Obecnie widocznie chce się major przekonać co jest wart III baon jego pułku.

Ze strony bolszewików również daje się odczuć coraz żywszy ruch. Patrole często, gęsto podchodzą do Kopanego Błota, dzień w dzień ostrzeliwują się z naszemi patrolami. Pozatem ludność od kilku dni przynosi ciągle wiadomości z Mołodeczna, ile to tam pułków świerzych przyjechało, ile tysiący nowego żołnierza...

W powietrzu coś czuć!..

Chłopaki co raz to zagadują wesołemi oczyma, czy aby nie będzie „wojny", ja zaś im ciągle i stale obiecuję Wilno...

— Co tam wam po „wojnie"?... Pójdziemy se do rezerwy, a jakże, na cały miesiąc do Wilna, do wilnianek, wypoczniemy se, a potem wojna się skończy...



Sprytniejsi uśmiechają się tylko i znacząco mrugają oczyma, lecz inni słabszego ducha, biorą to nawet na serjo...

Przedostatniego dnia czerwca, gdyśmy się nawet, my, oficerowie jeszcze niczego nie spodziewali — nagle ni z tego ni z owego fonogram telefoniczny głosi, iż ściąga się wszystkie kompanje do rezerwy do Kot i Bajb — a nas zmienia bataljon 3-go pułku piechoty...

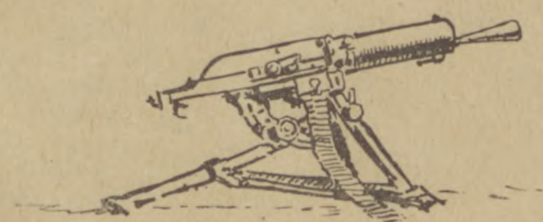
— A co nie mówiłem wam chłopaki, że idziemy do Wilna! — wołam po odczytaniu rozkazu a sam natychmiast telefonuję do adjutanta.

— Hallo, Włodek — co to znaczy?...

— Co znaczy? „Wojna" — bracie!... „Siup" — naprzód i „szluss"...

— A kiedy, nie wiesz?...

— Jutro — odpowiada adjutant.



W obydwu wsiach, Kotach i Bajbach ruch, gwałt, ścisk i gwar...

Kilkanaście chałup i stodół zajął cały bataljon, pierwszy raz od wyjścia z Wilna rozkwaterowany razem. Przez błotnistą, ciasną uliczkę ledwie - ledwie przeciskają się tabory: wszystkie, szopy, stodoły, izby i podsienia gęsto nabite żołnierzami.

Chłopcy jeszcze nie wiedzą, co z nimi będzie... Wilno— czy „wojna"?.. Jedni uparcie twierdzą, że już w Smorgoni (jak kucharz mówi—a kucharz to autorytet nielada) czekają wagony z lokomotywą, obrócone ku Wilnu, — inni natomiast głoszą z równym uporem, że pójdziemy do Wilna — owszem, dlaczego nie — ale po drodze ot tak, zlekka, mimochodem wstąpimy odwiedzić Mołodeczno.

Niepewność jednak długo nie trwała. Tego samego jeszcze dnia szefowie-sierżanci kompanji rozdali między plutony brakującą amunicję karabinową, po kilka granatów na „twarz", a wreszcie rozkaz gruntownego czyszczenia broni i karabinów maszynowych rozwiał złudzenia...

Idziemy naprzód!...

Późnym wieczorem dostaję rozkaz baonowy o zbiórce. Jutro o 4 rano zbiórka bataljonu na drodze w Bajbach; czoło kolumny na Zalesia...

Wieczór, jak zwykle przed każdą awanturą bojową, pełen złodziejskiego humoru, cynizmem żołnierskim okraszonego dowoli. W ciasnej izbie gwar, śmiechy, prześmiewania lub chwilami troska o zarządzenia w plutonach, — słowem podniecenie, wyrażające się w ciętych dowci-

pach i skrupulatnym opatrywaniu steyerów, brauningów i ręcznych granatów...

Szary świt pełgał zaledwie po izbie, gdy po stodołach, izbach i szopach przeleciał rozkaz zbiórki. Za pół godziny spakowana kancelarja, kawa wydana, plutony gwarliwe stoją już na drodze.

— Sekcje odlicz!... — krzyczą podoficerowie, porządkują oddziały i zganiają maruderów, którym jeszcze tam się jakiś owijak na nodze zaplątał...

Na pół godziny przed czwartą kapral dzienny melduje, „jako, że kompanja gotowa“...

Wychodzę z izby. Baśka, już osiodłana, niecierpliwie przebiera nogą, siodło wyczyszczone, wszystko na niej świeci się i błyszczy, jakby na gody szła...

Kompanja wzdłuż połamanego płotu rozciągnięta długim dwurzędem. Zamki karabinów lśnią, plecaki równo spakowane, rzemykami skruputalnie pościągane, łopatki i granaty zatknięte mocno, by nie fajtały ni gubiły się w biegu...

— Raport plutonami...

Zaś po raporcie przejść trzeba wzdłuż całej kompanji, na buty się popatrzeć i guziki, temu lub owemu coś tam jeszcze poprawić, innemu „oferma“ z groźbą w oku rzec, wreszcie z wysokości Baśki, ściągając cugle, zawołać krótko a ostro:

— Kolumna sekcyjna! Sekcjami na prawo zachodź — marsz!.. a gdy z chrzęstem i tupotem zabiegną czwórki, trąciwszy konia ostrogami, huknąć:

Na ramię broń! Kompanja — marsz!..,

Raz, dwa!...

Łup, łup, łup... Tłucze kolumna z pasją ognistą w lepką i czarną drogę, wybija takt zaciekle aż do chwili nowej komendy: Kolumna marszowa!...

Zagubił się nagle takt i rytm marszowy, z chrzęstem tornistrów i łopatek zbiegną się na czole szarże i ściśnie się cała kolumna...

Wówczas, wesoło i krótko, rozgłośnie i jędrnie rzuca się w szary żołnierski nurt: Odtrąbione!...

— U — he!.. wrzaśnie kolumna piekielnym głosem i zaraz też w ślad za wrzaskiem od pierwszej czwórki huknie wesoło gromki, łobuzerski śpiew:

Miała baba gęsiora, gęsiora...

W nocy padał deszcz. Rozmiękła, gliniasta droga, pełna kałuży wody; na zielonych jeszcze zbożach lśnią się i drżąco migocą poranne krople rosy, niby wielkie, perliste łzy...



Z dalekiego, ciemnego pasma boru, zasnutego śniadą, poranną mgiełką, zrywa się i płynie przez wilgotne, mokre łąki rzeźwy, ochoczy głos kukułki-zuzuli...

Mokre, ociężałe od rosy zwieszają się gałęzie przydrożnych płaczących brzóz i — gdy ręką o siodło się oparłszy odwracam głowę ku kompanji by pogadać z szarżami, czy też pogodę będziem mieli, skręca Baśka na boczny szlak drogi, wydeptany przez wędrownych ludzi, a wówczas wilgotna, ciężka okiść brzozowa prześlizgnie się po twarzy łagodnem muśnięciem, skrapiając twarz rzeźwą poranną rosą niby milutkim czarem ust...

Z opłotków wsi rozczochrane wyglądają głowy, pasiate kiecki migają wśród chałup, by ujrzeć ćmę tego wojska, już znowu gdzieś odchodzącego...

I tępy, pełen niepokoju wzrok wbija się w szarą kolumnę z niemem pytaniem...

A wojsko płynie. Przechodzi, wpada do wsi, zostanie dłużej lub któcej, odejdzie wreszcie, wszystko jedno jakie i jakim językiem mówiące, zawsze po sobie zostawi głęboką ulgę w chłopskiej, znękanej wojną piersi...

Za pierwszem wzgórzem zniknie kolumna i pozostawi po sobie dziwną pustkę, śmiertelną jakby ciszę...

Między opłotkami Bajb wyciągają się wszystkie kompanje i tabor bataljonu w długą i szarą kolumnę.

Mrzy drobny, nieustanny kapuśniaczek. Nad mokremi polami zawisły dżdżyste wilgotne mgły, w które zanurzyła się cierpliwa legjonowa piechota. Szara kolumna wsiąkła, zmięszała się z siwą mgłą, przystosowała się niejako do tej ogólnie panującej, smętnej szarzyzny...

Trącam Baśkę ostrogą i kłusuję na czoło kolumny, gdzie zebrali się oficerowie.

— Brrr... ohydna pogoda...

— Paskudna. I prawdopodobnie zepowiada się takie siąpienie deszczu na cały dzień...

— Zdaje się. Jakoś wiatru niema.

— Dokąd my właściwie idziemy—przerywam nagle kapitanowi — czy masz jakie wiadomości...

— „Forikung“, bracie, „forikung“. Na Ganutę, Wilej-

kę, Molodeczno — gdzie tylko chcesz i dusza twa zapragnie...

— Ruch, zdaje się, na całym froncie!

— Ofensywa jak pieron! Co tu gadać — nie oprzemy się teraz chyba aż na Dźwinie.

— To i do Mińska zaglądniemy?...

— Nie my! Tam Roja z 2 dywizją i Wielkopolanie będą się pchali. My z Dębem na Wilejkę — a potem co Bóg da! Zobaczymy!...

Dochodzimy powolnym marszem do Zalesia. Tu się zbierają kompanje 1-go pułku, którego jeden bataljon z nami rusza. Tworzymy wspólnie z baterją dział i szwadronami kawalerji grupę maj. Dęba-Biernackiego, z którą to mamy owych cudów dokonać.

Po paru godzinach marszu, deszcz nieco ustał, pole pojaśniało. Dźwigamy się piachami szerokich dróg, brzozami białemi wysadzanych, to zanurzamy się w wilgotne, mokre lasy, w których zrzadka gdzieś z boku widać dym idący z chałup.

Okolica pusta i bezludna.

Za Ganutą, za Mickiewiczami w jakiejś wsi, w której stanęliśmy na obiad, odprawa u majora.

Wiejska, dość czysta izba. Z brzękiem ostróg, kupą, wchodzimy do majora, gdy nas adjutant zawiadomił, iż można wchodzić.

Major wita się z nami jasnemi, pogodnemi, ze skrami wesołości oczyma i zaczyna nam objaśniać akcję żywym, pełnym ognia głosem, biorąc do rąk ogromną, szczegółową mapę.

Od niewielkiej postaci majora, ubranego w nieco przyciasny mundur, tchnie niesłychana energja, impet, który, ma się wrażenie, poprostu rozsadza ten przyciasny mundurek.

Cała odprawa wywiera na nas dziwne radosnopodniecające wrażenie. Podział akcji, jej przeprowadzenie, wykonanie, zdają się w jego słowach być tak prostem i łatwo wykonalnem, cały atak nasz przedstawiony nam w słowach majora nabiera cech tak pewnego, murowanego wprost zwycięstwa, że nieodparcie poddajemy się tej jasnej, wesołej, z góry ponad wszelkie wątpliwości zwycięskiej odprawie...

Uważnie słucham i notuję ważniejsze szczegóły odprawy. Czuję, że dzięki odprawie w ten sposób „zaamconej“ przez Dęba, znaleźliśmy się wszechwładnie pod jego wpływem, zasugestjonowani tą wiarą i pewnością zwycięstwa, jaka bije ze słów dowódcy pułku.



W chwili tej zrozumiałem, że taka odprawa jest faktycznie połową zwycięstwa, że oficer, który wiarę i pewność zwycięstwa tchnie w żołnierzy, dowódca który potrafi w ten sposób zasuggerować oficerów — ma zwycięstwo nad wrogiem faktycznie w olbrzymiej większości zapewnione.

Po godzinnej odprawie wyszliśmy do swoich kompanij, w humorach jak anioły. Nawet najwięksi pesymiści, którzy w całem dziurę zawsze odnajdywali, milcząc uśmiechają się cichcem pod niewyrosłym wąsem do owych „fasowań“, zapowiadanych przez Dęba.

Inni, weselszego radośniejszego ducha, radziby wiatr całować i promienie słońca ściskać z radości tak im wesoło na duszy. W myślach idą już w tę awanturę, jak w taniec...

Wedle odprawy maszerować mamy całą kolumną, z taborami i artylerją w środku, wprost, jak strzelił, na Wilejkę. Na północ, na Kurzeniec poszła jedna kompanja Holinkowskiego z kawalerją, my zaś walimy na Teklinopol a stamtąd, po przełamaniu linji obronnej, wprost na Wilejkę.

Bolszewicy zajmują tutaj linję obronną; słabo jednak obsadzoną. Poszczególne wsie wzdłuż tej linji ufortyfikowane i obsadzone. Na jedną z tych właśnie wsi, na Teklinopol my mamy uderzyć.

O 1-ej w nocy wedle dyspozycji Teklinopol ma być już wzięty przez dwie kompanje 1-go pułku. Stamtąd gwałtownym marszem mamy rżnąć na Wilejkę. Kotarba z 10-tą i moja kompanja uderzyć ma na dworzec i na północną stronę miasta, od Teklinopola t. j. od zachodu uderza dwunasta kompanja. Atak ma nastąpić o świcie i jeżeli złapiemy na dworcu jaki pociąg, to momentalnie ładujemy się i — jazda na Mołodeczno...

W tem miejscu należy sobie wyobrazić dzikie przerażenie i zdębienie krasnoarmiejców, którym nagle na dworzec wjeżdżają dwa bataljony „legunów“...

Wyprawa, jeżeli złapiemy pociąg, może być w swym efekcie niebywała. Udało się już Dębowi w ten sposób „warjatów“ z bolszewików zrobić w Święcianach swego czasu — dlaczego niema się udać z Mołodecznem?...

To też pod wpływem odprawy majorowskiej, nie przechodzi nam nawet przez głowę myśl, że może się nie udać.

I pogrążamy się w radosne przepowiadania, jak to będzie wyglądało...

Któryś z nas snuje opowiadanie:

...Z Wilejki do Mołodeczna niema żadnej stacji, sygnalizuje się wobec tego do Mołodeczna, że pociąg z Połocka jedzie z wojskiem. Bolszewicy czekają...

Na dworcu ruch. Tabory, prowjanty, lokomotywy, pancerki, żołnierze — wszystko to w spokoju i bezpieczne, spogląda z ufnością na sypiący zdala dymem, nadjeżdżający pociąg.

Turkoczą i hałasują na szynach koła wagonów, zajeżdża pociąg na stację. Staje.

Nagle — rzecz straszna, niepojęta i okropna. Przerażenie odejmuje władzę, myśl się mąci, dębieją włosy.

— Spasi Christ... szepcą pobielałe wargi...

Bo oto nim pociąg staje, rozsuwają się gwałtownie pchnięte drzwi wagonów i wychylają się dziesiątki stamtąd luf i bagnetów. Krzyk — nim się zdołało opamiętać, czy zabrać myśli — runął jak przeraźliwy grom.

— Sdajtieś... Sdajtieś...

Gruchnie jakiś prędki strzał, w przerażeniu oddany. A z wagonów wysypie się mrowie bagnetów. z krzykiem, wołaniem, strzelaniną i zwycięskim hurmem wtłoczą się leguny na stację. W mig postrącają z lokomotyw bolszewickich maszynistów, piorunem powskakują do wnętrza żelaznych „broniewików"...

Później, szybko i gwałtownie, jedną myślą i rozkazem jednym gnane, rozrzucą sie po mieście i wśród gwałtu i strzelaniny, przy nieopisanym panicznym zewsząd popłochu w pół godziny je zajmą...

Takie myśli — marzenia przesuwały się nam przed oczyma. Przerywał je często-gęsto ochotny, łobuzerski śmiech...

— A to byłby kawał bajeczny!...

Tymczasem zaś maszerujemy.

Patrole kawaleryjskie poszły już wprzód, droga zdaje się do samego Teklinopola wolna i spokojna. W powietrzu wisi stale ciężka, mokra mgła i choć deszcz ustał — zanosi się jednak na ponowne siąpienie, gdyż wilgoć w powietrzu staje się coraz cięższą.

Wchłonęły nas głębokie lasy, gdy poczęło się zmierzchać, i po krótkim czasie noc zapadła nieprzenikniona. Ciemność coraz gęstsza i grubsza, psa o krok nie spostrzeżesz. Warunki do nagłego napadu doskonałe.



Dobrze się już ściemniło, gdy począł padać gęsty, silny deszcz. Cały las pogrążył się w monotonnym ustawicznym szmerze. Ciemność zwiększyła się jeszcze bardziej.

Maszerujemy tak ze dwie godziny; wokół las, głucha noc, głuchy, bojowy marsz. Wozy taborów skrzypią, od czasu do czasu zatrzęsie łańcuchami jakieś działo, piechota cierpliwie i z rezygnacją przepiera się przez pełny wody i błota leśny trakt.

W pewnej chwili kolumna stanęła. Piechota stoi w wodzie po kostki, chłopaki wybierając co suchsze miejsca, kocami pozakładali głowy. Wszędzie jednak mokro, deszcz pada, pada nieustannie...

Stoimy dość długo, więc zniecierpliwiony wysuwam się na czoło i łapię Sławka.

— Czego stoimy?..

— Nie drzyj się — szeptem mówi kapitan. — Już Teklinopol..,

— Tośmy prędko zaleźli. Poszły już tamte kompanje? — pytam się również owym tajemniczym szeptem...

— 7 i 6 pierwszego w tej chwili poszły. Za pół godziny powinien być gwałt...

— Cyk!.. A gdzie major?..

— Chodzi po drodze — odpowiada wściekły kapitan, bo mu woda już za kołnierz się leje i Bóg wie, gdzie mu nie zajdzie.

— Cholera, djabli nadali z tym deszczem....

Wracam do kompanji. Północ już — czekanie zapowiada się na jakąś godzinę conajmniej.

Tymczasem wierzchołkami niewidocznych drzew przeciągnął wiatr i naraz deszcz, który padał już od dwóch godzin, lecz niezbyt silnie, stał się poprostu ulewnym. Całe potoki wody z szumem poczęły rwać po drodze, a z czarnej otchłani nieba lało i lało bez ustanku. Po kilku minutach tej ulewy byliśmy już wszyscy przemoknięci do suchej nitki. Z rękawów płaszczy lało się jak z rynien, na czapce powstawał co chwila staw czy jezioro, za kołnierz woda lała się cynicznym, wesołym ciurkiem...

Kolumna oniemiała. Żołnierze pooblepiali sobą wysokie sosny, inni z podziwienia godnym stoicyzmem siadali na drodze i bez względu na przeraźliwą wilgoć, która za-

pewne dotkliwie dawała się im odczuć — z uporem trwali. Jakiś bohater nawet chrapał...

W pewnej chwili poprzez gwałtowny szum ulewy trzasnął rozgłośnie, jędrnie, przeraźliwie ostro strzał karabinowy. W moment zatrzaskały inne do chóru i przez gęstwę lasu i ulewy dźwięknęła pierwsza kula...

Chłopcy się poruszyli. Pościągali koce z głów i nasłuchują...

Las tymczasem trzęsie się i gra echami strzałów. Za jazgotem rosyjskich strzałów i gwałtownem, prędkiem ujadaniem maszynek, poszło niskie trzepanie naszych manlicherów. Jęknął w rozrzucie odłamków jakiś granat ręczny, stęknął zanim drugi i trzeci.

Nasłuchujemy ciekawie, skuleni pod deszczem, zbici w ciasną gromadkę.

Las trzęsie się. Kule trzaskają po gałęziach drzew, z brzękliwym, krótkim świstem przelatują nad drogą, targają złe i kąśliwe wysoki, stary las.

— Coś za długo się bawi 6-ta kompanja z tym Teklinopolem...

— Strzelanina, jakby się naprawdę bili. Coś u djabła za długo trwa...

Major spaceruje po zalanej wodą drodze, coraz szybciej. Wreszcie woła na ordynansów i pogrąża się w noc.

— Po dobrej godzinie ustał ogień. Gdzie tylko z boku z Barowiec czy z Barańców dolatywało krótkie, chrzęstne nawoływanie karabinów maszynowych. Widocznie bolszewicy zaalarmowani ogniem w Teklinopolu, gorączkują się i tam, sądząc, że i na nich idzie atak.

— Tamci wesoło psują amunicję...

— Pewnie. Ciarachy nawet nie posłuchają, czy kto idzie i tłuką a tłuką...

— Trockiego wojsko. Tfu do licha!... splunął z obrzydzeniem — abominacja człeka bierze! Bić się z takiem tałatajstwem...

— Nie gadaj. Nasze trepy austrjackie nie byly lepsze— uśmiecha się któryś.

No, no, no... Już jabym tam wolał być trepem austrjackim, niż tym „krasnogwardiejcem“...

— No, wiara, ruszamy. się. Już po bitwie — kończy któryś z pod koca.

Od przodu przeleciał chrzęst przez kolumnę. Wysuwali



się z pod sosen żołnierze, schlapani błotem, do nitki przemoknięci i skupiali się na drodze...

— M-a-a-arsz!

Gdzieś na prawo i na lewo łupie noc ciągła strzelanina, jednak przed nami cisza kompletna. Deszcz się uciszył zupełnie, i gdy wyszliśmy za chwilę z lasu, niebo nawet zlekka pojaśniało.

Po drodze kręcą się jacyś gońcy, jacyś adjutanci. Łapią któregoś z nich.

— Cóż tam?...

— Teklinopol wzięty. Walimy dalej!..,

Przechodzimy za chwilę świeżo zdobyte okopy rosyjskie. Przewrócone leżą na drodze kozły z drutami, w mroku nocnym słabo się rysują okopy, wyłożone jasnemi deskami. Ogarnia nas głęboki szum ogromnych, starych drzew Teklinopolskiego dworku. Potężna ściana drzew wchłania nas i zatapia w nieprzeniknionej, zupełnej ciemności. Przez okrutne błoto brną śpiesznie jacyś gońcy z rozkazami, jacyś zagubieni łącznicy dopytują się o swoje kompanje...

Gdzieś z tyłu, w lesie, z którego dawno już wyszliśmy, łomocą po drzewach karabiny maszynowe, raz po razu zrywające się ogniem.

Nas to nic jakby nie obchodziło. Brniemy coraz dalej w błocie po kostki, zbitą kolumną posuwamy się stale naprzód.

Gdzieś znów z boku zatrajkotały dalekie maszynki..

My nic — idziemy wciąż naprzód...

Przed nami głucha cisza.

W pewnej chwili zatrzymałem kompanje. Dziesiąta, idąca przedemną, skręciła w lewo, mnie zaś zatrzymał krótkiem skinieniem major.

Na prawo rozchodzi się również droga.

Pod jakiemś kapiącem za kołnierz drzewem stoi major, adjutanci, Sławek Krzyżanowski i kilku innych oficerów. Wydzierają się stamtąd ciche, zduszone szepty...

— Na Wilejkę droga na lewo!

— Niemożliwe—przeczy inny głos...

Nad mapą pochylają się jakieś skupione, śmiertelnie uważne oczy i wypatrują nerwowe drgnienia nafosforyzowanej strzałki kompasu.

Zbliżam się i wyciągam latarkę. Ostrożnie, skupieniem zwartem ciał zasłonięty, ciskam delikatny, poprzez palce

puszczony promień światła. Pochylają się wnet nad mapą blade, znurzone twarze...

— Na prawo... Na prawo z wszelką pewnością — płynie szept z jakichś ust.

— Tak, na prawo! — Major wyprostowuje — cofnąć kompanję Kotarby!!!

— Goniec 10-tej... Biegiem do porucznika, żeby zawracać kompanję...

Kopnął się goniec bojowy, chlapiąc czarnem błotem. Czekamy chwilkę, wreszcie major gwałtownie zwraca się do mnie:

— Panie Lipiński, pańska kompanja na czoło! Już maszerować i to jaknajszybciej... Wprost na Wilejkę!...

— Rozkaz!

Wydaję śpiesznie dyspozycje. — Patrol przedni — raz, dwa — już! Lewa maszynka do patrolu — jazda! Dystanse na 20 kroków — marsz...

Wysuwamy się na szeroką drogę, wysadzoną z dwu stron wierzbami. Po bokach lśnią w wilgoci, jakieś szerokie, równe łąki.

Gnam chłopców coraz szybciej. Major ciągle pogania, chłopcy zasapani w głuchem milczeniu idą, w tę czarną noc, głuchą naokół pustką...

Wchodzimy na jakiś most. Z obydwu stron łąki rozpadły się w jakieś mokradła, bagna i bajory, od których bije stęchły zaduch. Wyrastają z nich jakieś kępy smugłych, wysokich olszyn.

Most się dłuży i dłuży, wyciąga się poprostu w nieskończoność...

Czuję za sobą nieomal oddech całego bataljonu. Czuję na tym moście w głuchej natężonej ciszy szmer kroków ośmiu kompanij piechoty, słyszę skrzyp ostrożny kół taborów, chrzęst żelazny polówek, niepewne stąpanie koni...

Myśl chciwie, żarliwie, z natężeniem wszystkich władz duszy pracuję, pracuje...

Żeby nie czekali gotowi i czynni przy końcu mostu,.. żeby nie ustawili maszynki i nie wżarli się ostrym posiewem tysiąca kul na ten most, przez który maszerują dwa bataljony piechoty... Na końcu mostu ustawiona maszynka, most długi, a pod nim jakieś stęchłe, przepastne bajory i bagna.



Gnam coraz szybciej straż przednią. Pot nam zalewa oczy.

W pewnej chwili raptem najradośniejszem i najcudniejszem powitaniem doszedł szmer lasu.

Wysoka, mroczna ściana, głąb, czeluść sosnowego boru...

— Biegiem marsz!

Załupotały dyle. Dopadamy do końca mostu.

Cisza zupełna, szumi tylko głęboko las...

Uczucia ulgi nikt nie opisze, nikt nie zrozumie. Gdzieś tylko, w głębi duszy, z podświadomości żołnierskiej, z pojęcia spraw wojny gdzieś głęboko wpadłej, wyślizgnął się jad obelgi: durnie, bałwany, osły... przecież żywej nogi mogliby tędy nie przepuścić!...

W tej chwili, daleko na nieboskłonie łysnął krwawy znak. Wnet za odgłosem, huczącym po lesie, zawył granat i buchnął gdzieś z boku od mostu. Błysk płomieni i churgot rozdartych wybuchem odłamków...

Rychło w czas, rychło! Za pięć minut będziemy na drodze! Strzelajcie, strzelajcie!...

Znów sekundowy błysk rozgorzał przez moment na jaśniejącem zlekka niebie. Rypnął gdzieś w błoto następny granat...

W kilkanaście minut piechota, artylerja i tabory wparły się w mokry, ciężki piach wśród sosnowego zagaju. Granaty na most łupiły ciągle...

Maszerujemy bez chwili wytchnienia, Gdy się na chwilkę tylko wstrzymam, by popędzić resztę kompanji, dopada zaraz naglący głos majora: prędzej, prędzej — przed świtem musimy uderzyć na Wilejkę...

Niebo zlekka, lecz coraz wyraźniej zaczyna jaśnieć.

Wierzchołki sosen nabierają szaro-sinego wyrazu.

Po godzinie marszu, gdy koszula i mundur nie przemokła od potu i zgrzania, tylko dlatego, że deszcz je przemoczył do cna, w srebrnej poświacie świtu, w sinym odblasku dnia, gdyśmy się znaleźli na szerokim spłachciu mokrego, białego piachu — trzasnął naraz z lasu ku nam jeden i drugi strzał...

Bach, bach... bach... zadudniły manlichery szpicy.

W tejże samej chwili w głuchym, cichym przed chwilą lesie w mgnieniu oka zrobiło się istne piekło. Jazgot gwał-

towny huraganowy ogień piechoty, trzaskający naraz ze wszystkich prawie stron, ulewa ognia zdusiła nas na miejscu...

Las począł się trząść, drżeć, jęczęć od nieustannego gwałtu ognia. W głowie powstał szum, łomot, niewypowiedziany trzask...

— Strzelać, strzelać... szybki ogień!...

Głos mój zapada się, niknie wśród rozbestwionego huraganu strzałów. Dopadam do pierwszego z brzegu.

— Strzelaj, ośle, w prawo, strzelaj!...

Wygarnął pierwszy strzał...

— Strzelać!...

W tej chwili załomotała maszynka. O kilka kroków gdzieś pod drzewkiem, piorunem zmontowana, targa snopami ognia szybko, szybko, coraz szybciej!...

— Strzelać, chłopcy! maszynka nasza bije!..

Poderwało się jeszcze kilka głuchych łomotów manlicherów. Za nimi odezwała się druga nasza maszynka i gwałtownie naraz zatrzepały karabiny. Po lesie, przez ani na chwilę nie słabnący ogień rosyjski, przedarły się suche chrobotliwe zgrzyty otwieranych i zamykanych zamków.

Błyski poczęły raz po raz, coraz gęściej, coraz uparciej migotać pośród drzew...

— Strzelać, chłopcy, strzelać! Nie dać się!..

Ogień nasz zaczyna rosnąć z przerażającą gwałtownością. Jednocześnie rosyjski słabnie...

Przykładam do ust gwizdek. Krótkie, przeraźliwe gwizdy walczą przez chwilę z ogniem.

— Naprzód! naprzód...

— Naprzód!—ze wszystkich stron podnosi się okrzyk, podrywają się ciemne postacie.

— Hura!... Pojedyńcze okrzyki zmieszały się ze sobą i stworzyły w jednej chwili ogromny, wspólny krzyk szturmowy.

Ogień rosyjski momentalnie ustał. Biegnę naprzód. Tupot dziesiątek za mną nóg. Mijamy kilku żołnierzy, leżących na drodze. Głuchy stamtąd dochodzi jęk.

Kilkanaście kroków tylko do końca drogi. Rozrzucił się nagle przed nami wysoki nasyp toru.

Piosunem, kilkoma skokami znaleźliśmy się na górze.

Na żółtym żwirze toru jakieś czapki, karabiny, łuski. Ówdzie zaciśnięta, zbielała część trupa. Za torem kołysze się i szumi zboże pod uciekającymi.



O kilkaset kroków pierwsza chałupa. Na jasnem już zupełnie tle nieba wystrzela wysoka wieża. Białe, murowane domy stoją w ciszy ogrodów, we mgle, która je od dołu okala...

Wilejka!

Wyrównać wzdłuż toru!... Stać, stać! Wyrównać...

Z lasu wypada biegiem następna kompanja. Za nią drugi łańcuch tyraljery.

Za chwilę dopada mię kapitan.

— Naprzód na miasto! Nie zatrzymywać się!

— Podniesiona wysoko ręka ku górze. Donośna, długa komenda: marsz!...

Zanurzamy się w sperlone rosą, mokre, ociężałe od wilgoci kiście wąsate jęczmienia i bladego żyta. Patrole piorunem, szybko kopnęły się wprzód.

Dochodzimy do cmentarnego białego muru. Chwila ciszy. Lecz już patrol krzyczy: naprzód!...

Od cmentarza biegnie gwałtownie szeroka ulica w dół. Na lewo zatrzaskały jakieś krótkie, gorączkowe strzały, — zerwał się ogień i natychmiast ucichł.

Tam poszła dziesiąta kompanja.

Na lewo od mojej brodzi już przez zboża następna kompanja, rzucona na pościg.

Za chwilę wchłania nas Wilejka w białe swe uliczki.

Miasteczko ciche, jakby pogrążone w głębokim śnie, czuje się jednak w migotaniu bladych twarzy w oknach niskich domów oślepły strach.

W co większych, murowanych domach drzwi naoścież poroztwierane, papiery jakieś porozrzucane w popłochu. W pokojach bolszewickich urzędów panika i gwałt, wszystko do góry nogami, poroztrącane gwałtownym biegiem ucieczki...

Tuż za ogrodami rozciąga się sinem pasmem płytka, szeroka Wilja. Przez most, na gwałt, co siły uciekają jakowiś ludzie, za któremi gonią strzały...

Wilejka zdobyta.

Ściągam kompanje i maszeruję ku dworcowi, prowadzony przez pierwszego z brzegu złapanego chłopa. Tam się mają poszczególnie kompanje zejść.

Jest godzina czwarta rano. Na dworcu dowiaduję się, że mam kompanje gdzieś obok rozkwaterować i czekać na dalsze rozkazy.

W najbliższej więc uliczce ściągam kompanję w dwurząd, broń w kozły i—zajmijcie chłopaki kwatery, tylko mi się nie rozłazić nigdzie. Sam ledwie włócząc nogami, pakuję się do jakiejś izby.

Zachrypnięty najzupełniej, wydaję sierżantowi dyspozycje: Kawę natychmiast podwieźć, wydać chleb i słoninę, jeżeli jaka jest, i uzupełnić amunicję. I jakie straty w kompanji? — dowiedzieć się, ilu brak ludzi.

Za chwilę, gdy ordynans uporał się już jako tako z butami, które stwardniały, jak kamień, w świeżej, na szczęście niezamokłej bieliźnie, wtulam się w jakoweś żydowskie pierzyny.

Obudziły mię jaskrawe, upalne promienie słońca, z okna zalazłe na łóżko. Pod piecem oparty o stół chrapie goniec, drugi rozwalił się na ławce, jak trup, tylko mój ordynans z trzecim skwierczą coś na piecu...

Słońce gra promieniami na twarzy, z otwartych okien bije upał, brzęczą muchy i czarną sadzą osiadają pułap, skwierczy słoninka i pryska na kominie...

Południe w cichym, upalnym lipcowym dniu, w cichej, wysadzonej kasztanami uliczce jakiegoś miasteczka gdzieś tam na Białej Rusi czy Litwie, gdzieś na drodze do Połocka...

Ordynans widzi, że nie śpię.

— Panie poruczniku, jajki można — ciągnie z białoruska.

— Jajki? Dawaj jajki!

— Ot, mało z tołku nie zszedł...—zaczyna mój Michał, którego zafasowałem w Smorgoniach—jak zaczęli bić z karabinów. Myślał, że już i po mnie...

— Dobrze, dobrze, opowiesz mi później! Daj mi teraz zimnej wody...

Przez okno zagląda jakiś goniec.

— Jest tu porucznik Lipiński?..

— Jest! Czego tam?..

— Na odprawę do kapitana, panie poruczniku!..

Na odprawie rozdzielono bataljon. Dwie kompanje z kap. Krzyżanowskim mają iść na Kurzeniec, aby tam podeprzeć kawalerję.

Kurzeniec—miasteczko o 12 km. na północ od Wilejki zostało zajęte jednocześnie z Wilejką, przyczem kawalerja zafasowała dwa działa, które z pod Wilejki cofały się na północ w stronę Kurzeńca.



Ogólna sytuacja dość niewyraźna. Jazda na Mołodeczno zrobiła „fiasco" bowiem w ostatniej chwili drapnął nam pociąg z lokomotywą. Pozatem niewiadomo, czy grupa południowa uderzyła na Mołodeczno i wzięła je, czy też stoi jeszcze na dawnem miejscu.

Jest to dla nas wiadomość pierwszorzędnej wagi, ponieważ w razie nie zajęcia Mołodeczna mogą pójść na nas kontrataki z dwu stron: od Mołodeczna na Wilejkę i od Połocka na Kurzeniec.

W przewidywaniu więc tych kontrataków dwie kompanje i półbaterja idą na Kurzeniec, zaś dwunasta kompanja i moja maszerować mamy z Chilewskim w stronę Mołodeczna na Glinne i Cny, dotrzeć jak tylko można najdalej i obsadzić jedną ze stacyj na linji Mołodeczno-Wilejka.

Plan majorowski, aby ruszyć z bataljonami odrazu na Mołodeczno, w tem się nie udał, żeśmy pociągu w Wilejce nie zdążyli pochwycić, — odjechał w stronę Mołodeczna jakieś pół godziny przed starciem na torze.

Natychmiast po odprawie zbiórka do odmarszu. Chłopcy już jako tako wypoczęli i wysuszyli się przez te pół dnia, tak, że maszerować już można.

Na krańcu miasta rozdzieliliśmy się. Drotlew z 12 poszedł prawym brzegiem Wilji, a ja lewym; on ma się posuwać wzdłuż toru, ja zaś z kompanją mam ubezpieczyć miasto od południa, głównie dwa wielkie mosty, kolejowy żelazny i drogowy drewniany.

Około 4-ej po południu byłem już na miejscu i zmieniam siódmą kompanję 1-ego pułku. Jest ze mną również Chilewski, jako dowódca półbaonu.

Dzień w dalszym ciągu skwarny. Rzeka płynie sennie, leniwie, wokół lasy, pogrążone w głębokiej ciszy upalnego dnia.

Siadamy przy moście na żółtym, świeżym piasku rozkopanych wnęk i rozmawiamy o ogólnej sytuacji, gdy wtem z drugiej strony Wilji, z miejsca, gdzie mniej więcej powinien znajdować się Drotlew ze swoją kompanją, gruchnęło po lesie kilka strzałów.

Za niemi wnet odezwały się inne i wśród niskiego rumoru, jaki czyniły w lesie manlichery, rozpoznaliśmy odrazu ostry gwałt rosyjskich.

— Oho dwunasta na coś wlazła...

— Prawdopodobnie jaki patrol...

— Być może, chociaż za patrolem muszą iść i poważniejsze odziały...

— Zobaczymy, co tam jest — mówi Chilewski — trzeba pchnąć łącznika.

Wołam jednego z morowych sekcyjnych i posyłam go z kilkoma ludźmi przez most w stronę ciemno-zielonej ściany lasu, by natychmiast wracał z wiadomością od 12 kompanji.

Ogień tymczasem w lesie rośnie. Do strzelaniny karabinowej dołączyły się szybkie, ścigające się jakby nawzajem dudnienia gluche karabinów maszynowych. Ponad brzeg lasu, wchodzącego staremi rozłożystemi sosnami w rzekę, poczęły się unosić i rozwłóczyć niebieskawe smugi dymu, powstałego z gwałtownego ognia piechoty.

Zaczynamy się poważnie niepokoić, gdyż wyraźnie widać, że to nie zwyczajna sobie „pierestrielka" patroli, lecz ogień już całej kompanji piechoty, dwustu przeszło karabinów. Tembardziej, że za jedną naszą maszynką ozwała się druga, trzecia, wreszcie wszystkie cztery nieustępliwem, gwałtownem ujadaniem ognia wmieszały się w przelewający się, bulgocący, jak war w garnku, gwar leśnej bitwy.

Po kilku kwadransach, gdy ogień rósł coraz bardziej na sile, postanowiliśmy z Chilewskim podejść bliżej, boć przecie djabli wiedzą, co tam być może.

Zostawiam więc na moście i na prawo od niego półtora plutonu Wądołkowskiego, a resztę kompanji z maszynkami podciągam przez most ku lasowi, gdzie tłucze się dwunasta.

Na moście otrzaskały nas szrapnele. Pancerka bolszewicka stoi tuż na skręcie i słupami rozdzieranej ziemi znaczy linję, gdzie się toczy walka.

Dochodzimy jakoś bez strat do lasu, gdzie już świsty kul polatują na wszyskie strony.

Rozkładam kompanję i pcham znów łącznika do dwunastej.

Za chwilę wraca pierwszy łącznik z meldunkiem od Drotlewa: natknął się na silne tyraljery bolszewickie, które wprost z pociągu ruszały na Wilejkę, podwiezione aż pod most.

Chilewski uważnie przegląda meldunek Józka, wreszcie siada i dyktuje mi meldunek do majora:



„Kompanja 9 o godz. 17 zajęła wieś Glinnoje Bołoto, ubezpieczyła żelazny most na Wilji oraz wieś Glinnę, wysyłając patrole do Osipowicz, Nieczewicz, Baraniec"...

Po lesie tną kule niby osy. Raz po razie opadają strącone gałązki drzew. Ogień rosyjski rośnie z chwili na chwilę...

Chilewski dyktuje dalej:

„Kompanja 12, posuwając się drogą Wilejka-Glinna-Cny, napotkała o godz. 18 nieprzyjaciela. Początkowo zetknęły się patrole wysłane w celu wysadzenia toru za pancerką. Patrole te przypuścił nieprzyjaciel na bliski dystans"...

Z pośród zalewu ognia począł nagle wyrastać ni to szum drzew pośród burzy, ni to ogromny krzyk setek ludzi. Wstrzymujemy oddechy...

— Zdaje się, szturm...

— Tak, to napewno szturm... Oj, coś bieda!...

Za chwilę ucichło. Znów zerwał się gwałtowny ogień...

„...przypuścił nieprzyjaciel na bliski dystans i zaatakował je. Na torze znajdował się w danym momencie pociąg pancerny i towarowy (około 40 wagonów)..."

Gwałtownie naraz zamknąłem blok meldunkowy. Chwyciliśmy obaj za steyery.

Po lesie szedł ogromny gwar, krzyk wołania. Ogień ścichł, zrywały się od czasu do czasu tylko pojedyńcze lub grupkowe strzały...

Na szerokiej drodze, wiodącej do Glinnej, w gałęziach niskiego poszycia powstał szum. Wyłania się długa, nieregularna tyraljera z gwarem, nawoływaniem, krzykami. Żołnierze, zgnani, czarni od potu, brudu, prochu, rozemocjowani, ciągnąc za sobą karabiny, wloką się przez las...

Cofają się!...

Chilewski jednym skokiem znalazł się przy Drotlewie...

— Co się stało?

Przekrwione od zmęczenia oczy, zżartę piachem. Z zaschniętego gardła ledwo, ledwo, z trudem wydobywa się śmiertelnie znużony głos.

— Zaszli nam tyły, okrążyli, trzeba było wyrywać. Amunicji nie mamy zupełnie — dodał z rozpaczą.

— Wacek! Osłaniasz odwrót!... Natychmiast!...

Z gwałtownym pośpiechem rozrzucam tyraljerę. Maszynki zmontowane, chłopcy rozrzuceni po lesie.

W kilka minut dwunastka znikła na zakręcie drogi. Natomiast przez piach jasny leśnego traktu poczęli przelatywać, wiejąc długiemi połami płaszczów, bolszewicy...

Gwar szedł z tamtej strony coraz większy, zbierali się i podchodzili już na normalny celownik!...

— Szybki ogień! Strzelać!...

Rozgruchotał się las zajadle, tłuc poczęły obydwie maszynk. Po kilku minutach wściekłego, huraganowego wprost ognia, gdy bolszewicy padli i zaczęli odpowiadać, podnoszę tyraljerę i cofam o sto kroków. Jedna maszynka bije przez cały czas zapamiętale—druga się już w tyle montuje.

W ten sposób kombinacją ruchu i ognia, przenoszeniem maszynek i stałym mimo to ogniem w pół godziny odstawiłem bolszewików na wysoki celownik. Gdy pojękiwać poczęły kule po lesie ostatnim lotem, zebrałem kompanję i gwałtownym marszem rwę ku Wilejce.

Cichy, ciepły zapadał wieczór, gdy zadudnił most pod stopami kompanji. Wilejka już zaalarmowana, obsadzona ze wszystkich stron.

Bolszewicy jakoś się nie zbliżają. Prawdopodobnie postradali zbyt wielu ludzi w czterogodzinnej upartej walce z dwunastą, aby mogli zaraz atakować dalej.

W Wilejce, zaledwie kompanja zdążyła cośkolwiek przegryźć, maszeruje z powrotem na most, aby go nie pozwolić opanować bolszewikom. Został tam pluton z Jurkiem Wądołkowskim, lecz na obronę mostu to jest najzupełniej za mało.

Z Wilejki, piachami i zagajnikami po godzinie skupionego, cichego marszu dochodzimy do toru, do rozkopanych wnęk strzeleckich u wylotu czarnej szyi mostu...

Nad rzeką unoszą się blade mgły, rozwłócząc się siwemi tumanami po rzecznych zaroślach.

Z drugiego końca mostu, z wysokiego piaszczystego wzgórza leśnego dochodzi wyraźnie w ciszy nocnej chrzęst i zgrzyt pracowitego kopania okopów i głosy „krasnoarmiejców“...

Placówka wysunięta daleko wgłąb mostu, nad czarnemi falami Wilji wytęża czujnie słuch, gotowa każdej chwili przy ostrożnym [szmerze stąpania, targać mrok nocny błysmi granatów ręcznych.



Na trójnogu usadzony mocny karabin maszynowy, którego rączki ani na chwilę nie opuszcza dłoń celowniczego...

Na moście żelaznym, wysokim łukiem wrzynającym się w głębię nocnego mroku, w piachu wkopana, popod grubemi belami wiązań skryta silna placówka, połyskująca ostrzami nasadzonybh bagnetów...

Do świtu jeszcze brakowało godzinę, gdy zameldował mi, spokojny kapral, najmorowszy z całej kompanji, że bolszewicy pono podciągnęli maszynkę, pod samę naszą placówkę, którą każdej chwili może wytłuc..,

Wołam Staśka Wolskiego. Weźmiesz z plutonu dziesięciu ludzi najmorowszych, weźmiesz granaty i podczołgasz się pod tę maszynkę, wyrżniesz salwę granatami, maszynkę musisz przywlec...

Oparty na sztucerku słucha, uważnie ściągnąwszy do bólu brwi...

Za pół godziny zameldował cichym głosem odmarsz...

Czekam ze ściśniętem, z bijącem jak dzwon sercem.

W rzecznych szuwarach zaczyna się coś trzepotać, kwilić, szurgać wśród szuwarów. Gardłowy głos kaczek, ochrypłych jakby, ze wszystkich stron się zrywających głosi świt...

Leżę popod nasypem toru, trzęsąc się z zimna. Nad mostem cisza, żaden szmer, głos ni krzyk nie przerywa ciszy wstającego dnia...

W pewnej chwili zrywam się na równe nogi. Przedemną staje Wolski.

— Co się stało?...

Oczy Staśka weselą się uśmiechem.

— Nic! Bolszewików niema... Dęba zrobili!...

— Nie może być?...

— Sam nie wiem co jest! Dość że niema. Widocznie zaszło coś u nich. Może Roja wziął Mołodeczno i musieli się stąd na gwałt cofać. Dość, że niema ich...

— Poślij z plutonu zaraz patrol na drugi brzeg. Niech się zwiedzą w Glinnem. Tam chłopi są...

Wskakuję na wysoki nasyp toru. W lekkich mgłach pogrążony drugi, leśny brzeg Wilji. Cisza tam grobowa.

W kilkanaście minut zaczernił się patrol na moście.

Przechodzi wzdłuż. Chwilkę rysuje się na jasnem tle piasków, wreszcie znika w głębi lasu.

Bolszewicy faktycznie uciekli. Na drugi dzień w południe Chilewski przysłał kompanję 1-go pułku do zmiany, a ja ze swoją podciągnąłem do Wilejki na kwatery,

Dwa dni spałem jak zabity, wraz z całą kompanją nie wiedząc o świecie Bożym.







Po dwu dniach rozkoszy rezerwy pomaszerowałem z kompanją do Kurzeńca, aby tam dociągnąć do całego bataljonu obydwie kompanje 10 Kotarby i 11 Liwacza, które tu zaraz po wzięciu Wilejki odmaszerowały do Kurzeńca, miały tam ciężką pracę. Rezerwy podwiezione z Połocka przez dwa dni rzucały się łańcuchami tyraljer na te dwie szczupłe kompanje i trzecią Holinkowskiego z 1-go pułku. Wśród sfalowanych zbożami pagórków toczyła się nieustępliwa, zażarta walka z atakującymi bolszewikami, którzy wreszcie siekani maszynkami i karabinowym ogniem, ze srogiemi stratami cofnęli się na Rieczki i prawdopodobnie dalej na Dołhinów i Berezynę, gdyż chłopi z Rieczek donieśli wnet o śpiesznym odwrocie czerwonogwardzistów.

Maszeruję na Kurzeniec przepysznym, szerokim traktem, wysadzonym staremi brzozami, wśród wesołych pieśni kompanji, z całym taborem, skrzypiącym na żwirnym piasku szerokiego traktu.

Z Kurzeńca pomaszerowaliśmy całym bataljonem na Rieczki, a potem kompanje rozdzielono. Trzy kompanje poszły na północ, w kierunku na Krzywicze dla nawiązania łączności z kawalerją Beliny, tak zwaną „Grupą Jezior“, buszującą między jeziorami Naroczem i Świrem, mnie zaś z kompanją wysłano na Kościeniewiczcze, nad Serwecz w stronę Dołhinowa, jako silny wywiad wprzód.

Po drodze natknąłem się na cały bataljon jeńców bolszewickich, których eskortowało kilkunastu ułanów.

Pięciuset przeszło jeńców wpadło w ręce 20 zaledwie ułanów, dzięki owemu niebywałemu zuchwalstwu legjonowemu. Historja bardzo prosta. Patrol ułański wpadł na stację Budsław i od kolejarzy — Polaków dowiedział się, że za chwilę nadejdzie pociąg z Połocka z pięciuset bolszewikami, którzy natychmiast mają uderzać na Kurzeniec. Nie namyślając się wiele, steroryzowali znajdującą się tam ponadto obsługę bolszewicką; korzystając z zapadłej nocy, rozstawili szyny, niecierpliwie czekając na wjazd pociągu.

Ogromny pociąg wkrótce zajechał lokomotywa z kilkoma wagonami wykopyrtnęła się w piach, ułany zaś ze straszliwą strzelaniną i straszniejszym jeszcze krzykiem wpadli na wagony i nie tracąc ani jednego człowieka, zagarnęli pięciuset bolszewików. Udało im się tembardziej, że owe srogie rezerwy zostały dopiero co zmobolizowane, załadowane na pociąg bez wydania karabinów, które wieziono w ostatnim wagonie, pod osłoną wiernych komunistów. Coprawda ułani o tej sprzyjającej okoliczności nie wiedzieli, lecz choćby nawet bolszewicy mieli broń, napewnoby się nie bronili, sądząc, iż napada na nich jakiś większy oddział.

Teraz maszerowali ogromną kupę, poubierani w najrozmaitsze mundury i najkomplatniej zadowoleni ze swego losu.

Do Serwecza maszerowałem cały dzień wzdłuż tego prześlicznego traktu, który pamiętał jeszcze Napoleońskie bataljony, i zaledwie rozstawiłem placówki, już po kilku godzinach dognał mię łącznik z Krzywicz, abym natychmiast tam maszerował.

W Krzywiczach rozlokowany cały bataljon. O bolszewikach na razie nic nie słychać, pono są w Dokszycach, pono ich stamtąd Orlicz ze szwoleżerami już wyrzucił, pozatem gadki między oficerstwem krążą, jakoby nas czwartacy mieli zmienić — a my, faktycznie do Wilna, do rezerwy.

Po kilku dniach łowienia ryb w głębokim Serweczu, po wybijaniu gromadami ogromnych jazi i szczupaków, po jakichś lekkich patrolach i włóczeniach się po nieprzebytych lasach, podciągnął 4 pułk, a my ku powszechnej radości i zadowoleniu, po dwu i pół miesięcznej ofensywie, załadowaliśmy się na pociąg.

W połowie lipca stanęliśmy w Wilnie. Miasto się niesłychanie zmieniło. Na Św. Jerskiej ruch, flirty z ułanami,



ścisk w kawiarniach i werandach, niemniejszy, niż w Warszawie na Ujazdowskich czy na plantach krakowskich.

Zewsząd bije śmiech, gwar, szczęście i wesele patrzą z oczu, wesołe życie płynie bujnym potokiem...

Nic już nie przypomina tego ponurego, zgasłego, wychudzonego i wygłodniałego Wilna, jakie zostawili po sobie bolszewicy.

Po dwu tygodniach rezerwy wileńskiej, obsadzono naszym baonem linję demarkacyjną litewską w okolicach Merecza, Daug, wśród przepysznych wzgórz litewskich, wśród lasów, jezior i łąk a co najważniejsza wśród licznych dworków, zamieszkałych, zagospodarowanych, witających nas z nadzwyczajną radością, wśród starych ścian modrzewiowych dworków i przemiłego akcentu nadniemeńskiego, gdzie każde słowo ciągnie się jak pieśń litewskich borów.

Przecudna kraśna jesień obarwiła pola i lasy, gdyśmy ściągali w połowie września z linji demarkacyjnej. Rdzawym nalotem okryły się litewskie, stare dęby, pojaśniały brzozy odblaskiem złota, snuły się śniade, jesienne mgiełki nad rżyskami w łagodnych promieniach wrześniowego słońca.

Kompanja, załadowana na długi sznur podwód, ciągnęła ze śpiewem, radością, weselem po białym rzucie szosy, ciśniętym wśród pagorków i wzgórz...

Dwa dni turkotały niezmordowane, pracowite koła pociągu, nim dojechaliśmy pod Kałkuny, na szerokie, równe pola, obniżające się ku Dźwinie...

Na wszystkich stacyjkach, rampach, torach ruch, życie, gwar. Na szerokich torach, pokrowcami okryte drżały w turkocie kół ciężkie, przerażające tanki, baterje wyciągały na długie szyje na wschód, niezmierzonemi polami dudnienia armat polatywały w dal...

Za jakąś baterją ośmnasto centymetrówek podeszliśmy szybkim krokiem na lekkie wzgórze i chciwym wzrokiem ogarnęliśmy szeroki horyzont...

W sinej, śniadej mgle podwieczerza tulił się płaski, równy kraj, zarysem Dźwiny przerżnięty jakby na dwie połowy...

Po drugiej stronie, w zachodzącego słońca blaskach paliły się cerkiewne, złote kopuły i różowiły się wyniosłe, jasne wieżyce...

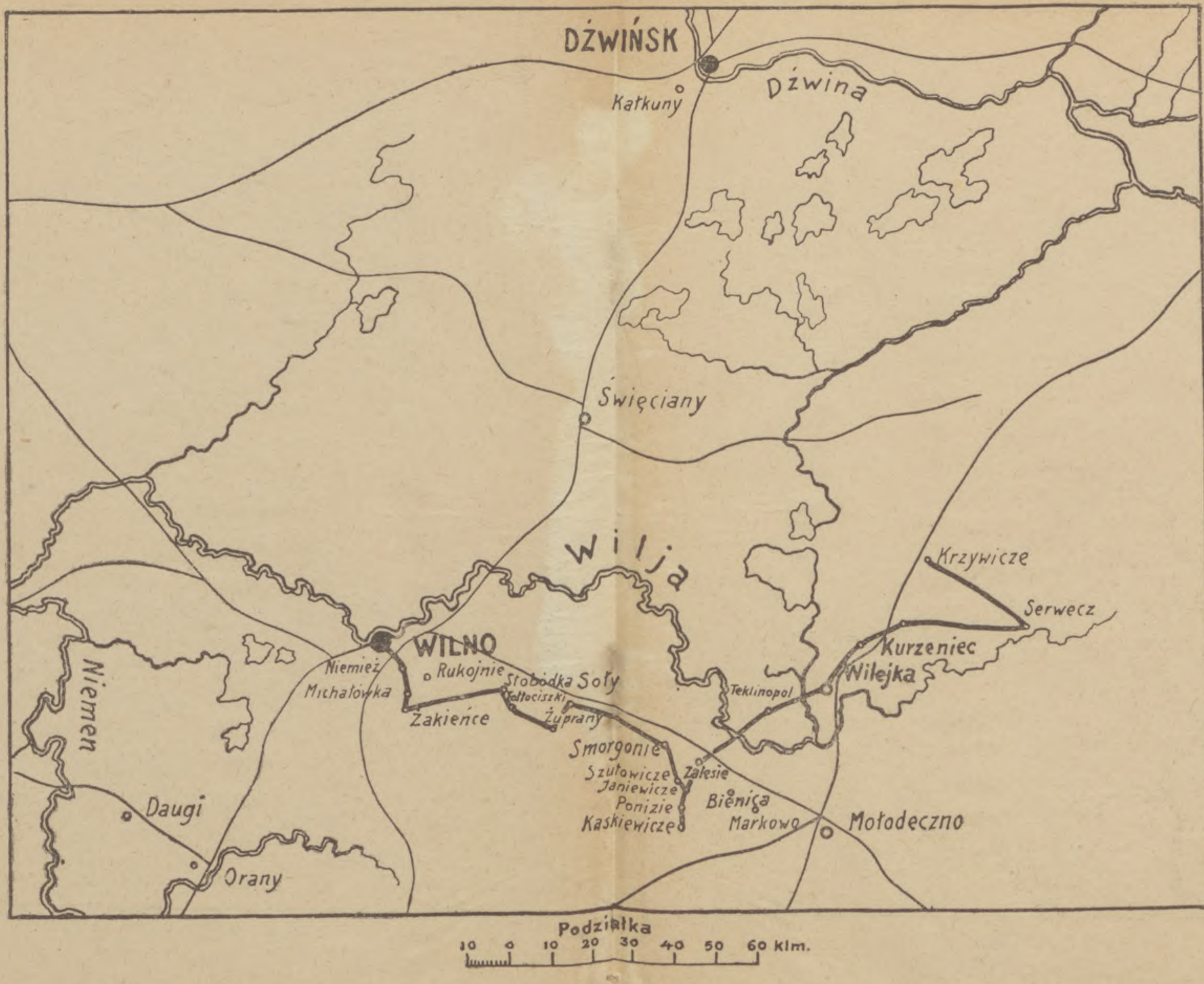
Ogromne miasto rozciągało się przed nami, milczące, chłodne tak dalekie i tak bliskie...

A wokół nas huczały salwy działowe i z długim poświstem pruły powietrze pociski ciężkich dział...

Dynaburg czekał...

KONIEC.




DŹWIŃSK
Kałkuny
Dźwina
Święciany
Wilja
WILNO
Niemież
Michałówka
Rukojnie
Słobódka
Soły
Tołłociszki
Żuprany
Zakieńce
Smorgonie
Szutowicze
Janiewicze
Ponizie
Kaskiewicze
Zalesie
Bienica
Markowo
Mołodeczno
Teklinopol
Wilejka
Kurzeniec
Serwecz
Krzywicze
Niemen
Daugi
Orany
Podziałka
10 0 10 20 30 40 50 60 Klm.